DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII — Warszawa, 14 września 1952 r. — Nr 37 (355)

Z MANIFESTU FRONTU NARODOWEGO

*

Front Narodowy jest jednością działania tych wszystkich, którzy chcą, aby znikł wszelki wyzysk pracy, aby każdy służył narodowi według zdolności i otrzymywał zapłatę według pracy.

Front Narodowy jest jednością działania wszystkich Polaków, którzy chcą, aby Polska — „wolna wśród wolnych, równa wśród równych i wspierających się wzajemnie narodów" — otoczona była gorącą przyjaźnią i szacunkiem całej postępowej ludzkości, wnosząc swój wkład do walki o pokój, postęp i sprawiedliwość społeczną.

Front Narodowy jest braterską jednością działania partyjnych i bezpartyjnych, związanych wzajemnym zaufaniem, wspólną pracą i walką o lepsze jutro.

*

Dźwignęliśmy kraj z ruin i zniszczeń wojennych. Bohaterska Warszawa jest dziś znów tętniącą życiem, coraz piękniejszą stolicą kraju. Pełną parą pracują nasze fabryki i kopalnie, odbudowało się nasze rolnictwo. Na Ziemiash Odzyskanyrh mieszka i pracuje siedem milionów Polaków.

*

Naród nasz wkroczył zdecydowanie na drogę wielkiego budownictwa i szybkiego postępu we wszystkich dziedzinach życia. Nasza produkcja przemysłowa wzrosła trzykrotnie w stosunku do przedwojennej.

*

Skończyliśmy raz na zawsze z klęską analfabetyzmu. W Polsce każde dziecko w wieku szkolnym uczy się.

*

Bezrobocie jest już tylko ponurym wspomnieniem kapitalistycznej przeszłości. Robotnik pracuję nie na kapitalistę — pracuje dla swego narodu, dla siebie i swej rodziny.

*

Chłop bezrolny i małorolny — przed wojną skazany na poniewierkę i poniżenia — otrzymał ziemię, możność pracy w przemyśle.

Rokrocznie w setkach nowych gromad zapala się światło elektryczne. Przed młodzieżą chłopską stoją otworem wszystkie uczelnie, zawody i warsztaty pracy.

*

Inteligencja wyzwolona z poniżającej zależności od burżuazji, znalazła dzięki władzy ludowej szerokie możliwości rozwoju i zastosowania swych zdolności twórczych, stała się niezbędną i cieszącą się szacunkiem częścią składową wielkiej armii budowniczych nowej Polski.

*

Chronimy i umacniamy rodzinę, otaczamy szczególną troską rodziny wielodzietne, zapewniamy jasną przyszłość dzieciom.

*

Nasze budownictwo rozwija się w obliczu nieustającego zagrożenia pokoju przez imperialistów amerykańskich oraz ich wasali zachodnio-niemieckich i innych. Zbrojenia zachodnio-niemieckich odwetowców i całego obozu imperialistycznego zwracają się swym ostrzem przeciwko całości naszych ziem, przeciwko niepodległości Polski, przeciwko wszystkim miłującym wolność narodom.

Jedynie skutecznym środkiem przeciwstawienia się tej groźbie jest: wzmacnianie przyjaźni i wspólnej walki o pokój ze wszystkimi narodami broniącymi swej niepodległości; obronności państwa w służbie pokoju; wmacnianie siły gospodarczej kraju i jedności wewnętrznej narodu.

*

Przed Sejmem, który wybierzemy, stanie obowiązek wytyczenia dalszych zadań, uchwalenia nowego Planu 5 letniego, którego wykonanie zabezpieczy naszemu narodowi wielkość, siłę i dobrobyt.

*

Naród nasz pochłonięty ogromną pracą twórczą gorąco pragnie zachowania i utrwalenia pokoju.

Na straży pokoju stoi potężny Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, stoją kraje demokracji ludowej, stoi niezwyciężony obóz wolności i postępu od Niemieckiej Republiki Demokratycznej aż do Chińskiej Republiki Ludowej, stoją setki milionów prostych ludzi na całym świecie. Wrogiem naszego narodu, wrogiem całej ludzkości jest obóz wojny i ujarzmienia narodów, któremu przewodzi imperializm amerykański i pod którego skrzydłami — na terenie Niemiec Zachodnich — odradza się bestia hitlerowska, snująca plany nowego pochodu na Polskę.

*

Jedność naszego narodu wokół klasy robotniczej i władzy ludowej stała się potężną siłą rozwoju naszej ojczyzny, zabezpieczenia jej niepodległości, obrony pokoju.

Do Frontu Narodowego przyłączają się przez wzrastający wysiłek w swej pracy i pogłębianie swej świadomości politycznej ci wszyscy, którzy nie od razu zdołali przezwyciężyć wątpliwości, wahania czy błędy.

Wanda ŻUROMSKA

Doświadczenie społeczne

RZECZOWNIKA człowiek i przymiotnika ludzki używamy na określenie wszelkich możliwych ujawnień się człowieka. Istnieje tu ogromna rozpiętość i nie zawsze to, co określa my jako ludzkie będzie nosiło treść dodatnią. Nigdzie na świecie nie znajdziemy jednak człowieka inaczej jak przez abstrakcję, natomiast wszędzie znajdujemy konkretnych ludzi. Ci ludzie, to jednostki wyrażające się w konkretnym życiu i działaniu, we współżyciu z innymi, równie określonymi i równie konkretnymi jednostkami czy grupami społecznymi. Coraz mniej już dziś takich idealistów, którzy wierzą, że człowieka wyznacza i określa sama idea i takich materialistów, według których człowiek kształtuje się wyłącznie w uzależnieniu od warunków. W rozrachunku, jakiego każdy dokonuje z sobą samym, ze światem, Bogiem i ludźmi liczy się absolutnie wszystko.

POZNANIE SIEBIE

NAJSKUTECZNIEJSZE poznanie samego siebie uzyskujemy nie tyle poprzez własny sąd o swoich możliwościach, umiejętnościach i charakterze, ile właśnie poprzez konfrontację tego sądu z opinią o nas i poglądami innych dającą w zestawieniu z konkretnymi efektami naszego działania najbardziej obiektywny miernik. Dokonuje się to w konkretnych sytuacjach życiowych, zadaniach, które podejmujemy, a które nas wypróbowują. Odsłaniają one przed naszym otoczeniem i przed nami samymi istotny obraz tego, czym jesteśmy i co potrafimy w danym zakresie i w danej sytuacji. Narastanie zadań, ich zmienność i różnorodność stanowi konkretny materiał do wzbogacania tej wiedzy. Nie tylko przyjaciół poznaje się w potrzebie, ale przede wszystkim samych siebie.

Każda taka konkretna potrzeba, którą stwarzają warunki społeczne, każde społeczne zapotrzebowanie na naszą osobę, nasze możliwości, umiejętności, charakter — stanowią istotny, życiowy egzamin człowieka, egzamin nie tylko jego społecznej przydatności, ale również próbę realizacji jego samego. Człowiek jest tym czym jest a nie tym, co o sobie sądzi. Poznanie introspekcyjne naraża nas niejednokrotnie na bolesne omyłki, własne osobiste przeczucia i przekonania niejednokrotnie ścierają się tragicznie z rzeczywistością, załamują się w kontakcie z nią. Sąd i opinia innych ludzi stanowi stałą korektę własnych mniemań. Fakty życiowe, praca, kontakty społeczne wypróbowują nas ciągle i nieustannie.

Doświadczenie społeczne stanowi stały i istotny probierz wszelkich hipotez jakie człowiek sam nagromadził o sobie.

RZECZYWISTOŚĆ WPROWADZA KOREKTĘ

LIBERALIZM hipotezom tym nadawał charakter stwierdzeń, tez udowodnionych poprzez sam fakt ich powstania. Żadne sprawdzenie nie było tu potrzebne, nie korygowało bowiem niczego, ale stawiało człowieka najczęściej w konflikcie z całym otaczającym go światem. Konflikt taki był tym tragiczniejszy, że jednostka nie mogła liczyć na oparcie, w jakiejś określonej zbiorowości, ponieważ nie szukała go, gardząc tym wszystkim, co stanowiło wyraz społecznego przeżywania i społecznego odczuwania. Nie posiadała istotnej potrzeby przezwyciężania własnej samotności. Jej możliwości stanowiły wieczną hipotezę a dusza — wieczną tajemnicę, której poznanie tu na ziemi nie miało realnych szans.

WOLNOŚĆ W POJĘCIU LIBERALIZMU

TEN stan rzeczy miał określać pełną swobodę indywidualną jednostki. Życie duchowe człowieka podobnie jak i jego interesy były terenem wyłącznie jego własnych poczynań, gdzie nikt i nic nie miało prawa wstępu. Woiny człowiek epoki liberalizmu pojmował swoją wolność jako przecięcie wszelkich więzów ze społeczeństwem, jako likwidację jakichkolwiek wobec niego zobowiązań. Ta wolność oznaczała jednak równocześnie brak jakiejkolwiek pomocy i oparcia z zewnątrz. Wystarczała tak długo, jak długo nie wyczerpał się kapitał gospodarczych i duchowych sukcesów jednostki.

W przezwyciężaniu smutnego spadku liberalistycznych pojęć, człowiek zaczął uczyć się odnajdywać siebie inaczej niż w samotności, zaczął uczyć się, że nie ona jedynie i wyłącznie stanowi wykładnik tego, co określa się dumnie poprzez przymiotnik ludzki. Melancholia samotności zrodziła tęsknotę do samopotwierdzenia, jakie daje zespolenie z gromadą. Odczucie łączności z jednej strony zabezpiecza jednostkę a z drugiej daje jej możność odnalezienia kryteriów postępowania i myślenia zagubionych na manowcach samotnych wędrówek. Zespolenie zebezpiecza jednostkę przed, najgorszym ze wszystkich, niebezpieczeństwem ugrzęźnięcia na mieliźnie egocentryzmu i skostnienia egoistycznego.

INDYWIDUALIZM A POSTAWA USPOŁECZNIENIA

NIE tylko współczesny świat jest terenem antagonizmów między liberalistycznym autonomizmem a postawą uspołecznienia, ale każdy współczesny człowiek przeżywa w sobie ścieranie się tych dwóch sprzecznych tendencji, dążących do prawa wyrażania go, określenia i wyznaczenia.

Każdy z nas żyje i rozwija się w kręgu „ja" i w kręgu „my". Nasze przeżycia i odczuwania przebiegają w dwóch płaszczyznach: moje i nasze. Autonomizm liberalistyczny na miejsce „my" wprowadzał „wy", na miejsce „nasze" — „wasze". Zatracił i gubił najbardziej wartościowe elementy psychiki ludzkiej. Jeżeli w przerzuceniu się na kraniec przeciwny zlikwidujemy wszystkie „ja" wszystkie „mnie" i wszystkie „moje" — gubimy również to, co jest istotne. Ale to, co stanowi prawdziwe uspołecznienie, właściwe odczytanie i zrozumienie tej postawy, nie przekreśla ludzkiego ja, dąży jedynie do osiągnięcia syntezy przeżyć osobistych jednostki z przeżyciami jej jako członka grupy. To, czego doświadczamy jako członkowie grupy stać się powinno naszym własnym i osobistym przeżyciem — nasze „ja" prywatne musi wchłonąć w siebie troski i obowiązki zbiorowe.

To zespolenie jednostki z grupą jest możliwe nie tylko wówczas, kiedy istnieje zgodność interesów jednostki z interesem zbiorowym, ale kiedy ta zgodność jest rzeczywiście uświadomiona przez jednostkę, kiedy jednostką kieruje naprawdę motyw współdziałania. Człowiek jest niewątpliwie istotą społeczną stąd jego dążenie do życia w gromadzie, stąd tęsknota do miłości, przyjaźni, ludzkiego szacunku i uznania, stąd ucieczka przed samotnością. Ale będąc istotą społeczną, człowiek nie zawsze bywa uspołeczniony i stąd jego konflikty z otoczeniem, stąd ucieczka do tragicznej samotności, maskowanej obojętną wyższością.

SPOŁECZNA REHABILITACJA CZŁOWIEKA

WSZELKI elitaryzm posiada to właśnie tragiczne podłoże, wszelkie zamykanie się w kapliczkach dla wtajemniczonych jest pełną hipokryzji ucieczką przed sobą samym, przed tym, co stanowi istotną potrzebę — i dążenie — zespolenia się z innymi ludźmi, społecznego przeżywania i odczuwania.

(Dokończenie na str. 11)

Porozmawiajmy...

Szanowny Panie X.Y!

POPRZEDNI list poświęciłem wyjaśnieniu różnych konkretnych zarzutów i zastrzeżeń, które służyły Panu jako argumenty przeciw tezom zawartym w artykule z „Dziś i Jutro" — „U progu dziewiątego roku". Jeden z tych argumentów, uzasadniający pańską postawę „przeciw" pominąłem jednak. Mimo, iż jest on pozornie błahy, w istocie jednak odzwierciadla całą różnicę naszych poglądów a jednocześnie rzuca charakterystyczne światło na całokształt reprezentowanej przez Pana ideologii.

Oto zarzut, jaki Pan stawia między innymi Polsce Ludowej:

„Faktem jest, że żywimy u siebie różnych emigrantów, jak Grecy czy Hiszpanie, że żywimy ich hojnie i darmo".

Nie wiem, czy określenie „hojnie i darmo" odpowiada ściśle stanowi rzeczy. Zapewne staramy się, chcemy być gościnni, ale tylko w tych ramach na jakie nas stać. Darmo? Być może, w niektórych wypadkach. Jest mi skądinąd wiadome, że wielu spośród goszczonych u nas w kraju obcokrajowców pracuje, oddaje swe kwalifikacje na usługi naszego narodu, nie chcąc być ciężarem dla społeczeństwa. Jest jednak faktem, że przyjmujemy do siebie, zgodnie z Pana twierdzeniem prześladowanych i bezdomnych postępowych działaczy z różnych krajów. Istnieje nawet taki artykuł w naszej konstytucji:

„Polska Rzeczpospolita Ludowa udziela azylu obywatelom państw obcych, prześladowanych za obronę interesów mas pracujących, walkę o postęp społeczny, działalność w obronie pokoju, walkę narodowo wyzwoleńczą, lub działalność naukową".

Jak widać — nic tu nie ma do ukrycia ani przed narodem, ani przed opinią świata. To, co mnie jednak zastanowiło, to fakt, iż Pan właśnie z zastosowania tegoż prawa azylu czyni argument dla swej krytyki. Właściwie co Pan czyni? Odwołuje się Pan, (w sposób świadomy czy nie świadomy, tego nie wiem), do egoistycznych refleksów naszej mentalności. Mówi Pan mniej więcej tak: „patrzcie, my mamy jeszcze tyle trudności i braków do przezwyciężenia, musimy się bez tego i tamtego obywać, a tymczasem obcokrajowców u siebie gościmy". Czyż to jest postawa chrześcijańska? Czyż ten argument ma cokolwiek wspólnego z nakazem czynnej miłości bliźniego? Czyż to jest postawa godna Polaka? Przecież chyba nie zapomniał Pan o tym, że niepodległościowi i rewolucyjni działacze polscy, prześladowani przez rządy zaborcze także tułali się na emigracji, także szukali azylu. Niestety, w czasach rozkwitu dobrobytu gorzki był ten chleb tułaczy! Gościnność, solidarność z prześladowanymi były wtedy głównie przywilejem najbiedniejszych. Możemy być tylko dumni, że podejmując te szczytne tradycje w warunkach znacznie bardziej sprzyjających — spłacamy w ten sposób dług wdzięczności.

A Pan czyni z tego zarzut!

Ale to są argumenty natury głównie emocjonalnej, jakie wysunąłem przeciw Pańskiemu stwierdzeniu. Sprawa się jednak do tego nie ogranicza. Nie chodzi mi tu tylko o sąd moralny. Postawa Pana jest znamienna także i politycznie. Jest w gruncie rzeczy wyrazem ciasnego, nacjonalizmu, który odcina się od wszelkiej współpracy i współdziałania z innymi narodami, który nie uznaje innych celów poza egoistycznie pojętym dobrem własnym. Razi Pana zapewne że udzielamy azylu i pomocy postępowym działaczom na emigracji, że społeczeństwo polskie składało się na pomoc odzieżową dla Koreańczyków, i że zbieraliśmy kiedyś składki na pomoc dla strajkujących na zachodzie robotników. Nie rozumie Pan ani sensu międzynarodowej solidarności, ani samej idei internacjonalizmu.

Sądzę, że nie uświadamia sobie Pan, że tak samo Koreańczyk, jak robotnik francuski, jak doker w Tunisie broni naszej sprawy. Zaskoczy Pana zapewne stwierdzenie, że oni także osłaniają nasze polskie ziemie zachodnie przed amerykańskimi planami rewizjonistycznymi. Zapewne nie widzi Pan również pomocy krajów demokracji ludowej, a przede wszystkim Związku Radzieckiego przy realizowaniu naszego planu sześcioletniego, natomiast chętnie będzie Pan powtarzał różne plotki i insynuacje lansowane przez anglo-amerykańskie radiostacje.

List Pana nie był, to prawda, typowym listem reakcyjnego anonima. Przeciwnie, był kulturalny, umiarkowany. Ale właśnie dla tego prowadzę za Pana rozumowanie do końca, gdyż na tej drodze zatrzymać się nie można.

Trzeba innym okiem patrzeć na naszą rzeczywistość. Bynajmniej nie bezkrytycznym i bynajmniej nie zatracającym kontaktu z naszą, katolicką problematyką i interesami Kościoła. Nie chcemy schodzić z własnych pozycji światopoglądowych. Chcemy je konsekwentnie realizować. Chcemy jednak na sprawy narodu i ludzkości patrzeć oczyma człowieka, który rozumie postęp i rozumie nadrzędne, wspólne wszystkim narodom dobro, jakim jest sprawiedliwość społeczna i godność człowieka pracy. Może ta wymiana poglądów i Pana do tej właśnie drogi zbliży.

W. K.

Wojna, która ich demaskuje

OSTATNIE tygodnie przyniosły niezwykle cenny dla spraw pokoju dokument: jest nim relacja Yves Farge'a, członka Światowej Rady Pokoju, który spędził na Korei i w Chinach Północnych blisko 2 miesiące, zajmując się badaniem realiów tej potwornej wojny, do sprowokowania której Amerykanie uporczywie nie chcą się przyznać. Pismo „Les Lettres Françaises" zamieściło w jednym ze swych ostatnich numerów obszerne fragmenty tej dokumentalnej relacji.

Wnioskiem generalnym Farge'a jest sformułowane przezeń stwierdzenie, że: 1) istnieje dokładny i starannie opracowany plan wojny bakteriologicznej, 2) istotne punkty rozwoju tej wojny zgadzają się z danymi wojskowymi i naukowymi ogłoszonymi oficjalnie w Stanach Zjednoczonych w szeregu książek, czasopism, dzienników i sprawozdań, 3) wyniki badań ekspertów koreańskich i chińskich zostały potwierdzone przez zeznania jeńców amerykańskich, wreszcie 4) wojna biologiczna, tocząca się obecnie w Korei i Chinach, musi być traktowana jako etap w łańcuchu okrucieństw, etap mogący prowadzić do użycia broni atomowej, której zasoby — rzecz to wiadoma — znajdują się w pobliżu teatru działań wojennych.

Do wniosków tych doszedł autor przez skrupulatne przestudiowanie dokumentów zebranych przez władze koreańskie i chińskie — jak protokóły zeznań świadków, protokóły wyników badań ekspertów-lekarzy i agrobiologów, protokóły wizji lokalnych oraz przez osobiste zapoznanie się ze stanem faktycznym w szeregu zaatakowanych bronią bakteriologiczną miejscowości Korei i Chin Półn. Specjalne laboratoria naukowe pracują nad ustaleniem pełnego obrazu wojny biologicznej. Staranność w ustalaniu stanu faktycznego jest tak duża, że nie jednokrotnie zawieszano oficjalną publikację dotyczącą przebiegu wypadków w wojnie biologicznej, skoro w międzyczasie okazało się, że istnieją jeszcze jakieś poprzednio niedostrzeżone i niewyjaśnione dostatecznie okoliczności.

Wojna biologiczna na Korei i w Chinach Północnych, które zostały zaatakowane na równi z Koreą, chociaż formalnie USA nie są w stanie wojny z Republiką Chińską — toczy się jednocześnie na kilku frontach. Amerykanie użyli broni bakteriologicznej przeciw ludziom, przeciw zwierzętom i przeciw uprawom rolnym. Zarazki chorób przewodu pokarmowego były rozsiewane za pomocą zrzutów zarażonych owadów lub przedmiotów martwych w pobliżu naturalnych zbiorników wodnych, zarazki chorób dróg oddechowych, szczególnie dżumy, zrzucano przy użyciu tych samych „pośredników" w sąsiedztwie osiedli ludzkich, zwłaszcza w okolicach mocno zniszczonych wojną, których mieszkańcy gnieździli się w wybitnie niekorzystnych warunkach mieszkaniowych. Zarazę bydła usiłowali wzniecić Amerykanie przez zrzucanie mikroba Pasteurella multocida, przenoszonego przez pewien gatunek pająka, oraz bakterii wąglika, którym zakażone były zrzucane masowo liście. W analogiczny sposób atakowano uprawy morwy, kukurydzy, bawełny i soi.

Osobnym zagadnieniem jest fakt, że epidemie wybuchały na Korei i w Chinach Północnych w okresie zimy tj. wówczas kiedy owady bakterionośne jak muchy czy moskity są ukryte w swych zimowiskach. Fakt ten Amerykanie cytowali tendencyjnie na dowód swej rzekomej niewinności. Wyjaśnić trzeba, że, jak wynika ze szczegółowych badań entomologów, zrzucane przez Amerykanów insekty były specjalnie aklimatyzowane do przebywania w warunkach zimowych, po wtóre znajdowane masowo na śniegu muchy, pająki, moskity, świerszcze polne itd nie mogły być w żaden sposób pochodzenia miejscowego właśnie z uwagi na okres mrozów zimowych, po trzecie wykryto wśród tych 'owadów' wielką ilość samiczek zdolnych do rychłego zniesienia jajeczek.

Było rzeczą łatwą do przewidzenia, iż owady te rychło poszukają sobie kryjówek w ciepłych miejscach tj. że przeniosą się do pomieszczeń zajmowanych przez ludzi. Zima przecież sprzyja w wybitnym stopniu życiu ludzi w gromadzie i przebywaniu pod dachem domostw lub — jak to praktycznie ma miejsce w Korei — schronów czy piwnic.

Owady przenoszące bakterie chorobotwórcze zrzucane były na terytorium Korei i Chin Północnych w najróżniejszy sposób. Najczęściej umieszczano je w specjalnie skonstruowanych bombach lotniczych, pękających nisko nad ziemią. Często również stosowano zwykłe pudełka z kartonu zaopatrzone w miniaturowe spadochrony. W użyciu były również pociski artyleryjskie, wyrzucające armie mikrobów na linie frontu. Wreszcie wymienić trzeba rozpylanie całych obłoków złożonych z bakterionośnych owadów. Dzieła tego dokonywały amerykańskie samoloty odrzutowe.

Niezwykle interesujących informacji dostarczyły Farge'owi zeznania jeńców amerykańskich — por. Johna Quinna i por. Kennetha Enocha, z którymi zresztą spotkał się osobiście i rozmawiał prywatnie. Obaj oficerowie lotnictwa amerykańskiego brali udział w nalotach bakteriologicznych i zostali zestrzeleni podczas jednej z takich akcji. Jak wynika z ich zeznań, ostatnia faza przygotowań do wszczęcia wojny biologicznej miała miejsce w bazie wojennej Iwa Kuni w Japonii. Niejaki Wilson, cywilny „spec", prowadził tam specjalny kurs dla 25 pilotów i kilku obserwatorów. Po przejściu tego kursu — oficerowie ci zostali skierowani w połowie stycznia rb. na front bezpośrednich operacji i rozpoczęli zrzucanie bomb „nieeksplodujących".

Lektura zapisków Yves Farge'a daje bogaty materiał do snucia rozważań na temat obrony cywilizacji zachodniej made in USA: najbardziej zwyrodniałe metody eksterminacji ludności cywilnej kraju, któremu rzekomo GI'si interwencyjnych dywizji amerykańskich mają nieść „wolność", demaskują bez reszty owe wzniosłe cele przyświecające obecności Jankesów na Korei i wyspach japońskich. Ostatnie złudzenia co do bezinteresowności Amerykanów na Korei muszą prysnąć: skoro bowiem przystąpiło się do biologicznej eksterminacji cywilnej ludności, kogóż będzie się „wyzwalało": dżuma i cholera atakują tak komunistów jak i niekomunistów! Sprawa jest jasna: nie mogąc dosięgnąć ludności cywilnej za pomocą bomb kruszących i odłamkowych — cały bowiem kraj leży w gruzach — lotnictwo amerykańskie usiłuje kontynuować swoje niszczycielskie dzieło przy pomocy mikrobów, przenoszonych przez „emisariuszy" zdolnych przeniknąć między gruzy i ruiny. Między te gruzy i ruiny miast Korei, które — jak pisze Yves Farge — pozostaną dowodem barbarzyństwa Pentagonu, tak jak gruzy i ruiny Warszawy świadectwem barbarzyństwa hitlerowskiego.

Wojna biologiczna w Korei i Chinach prowadzona przez USA nie jest czymś przypadkowym albo czymś, co zadecydowano w ostatniej chwili. Dokładne przestudiowanie faktów skłania nas do przyznania racji Farge'owi, który pisze, że wojna ta jest wynikiem długofalowej pracy całych sztabów naukowych, gdzie niepoślednią rolę grali osławionej pamięci naukowcy i wojskowi japońscy, przygotowujący broń bakteriologiczną przeciw narodom sprzymierzonym w czasie II wojny światowej. Dokumenty dotyczące wojny biologicznej na Korei dowodzą niezbicie, że amerykański sztab generalny przystępując do rozpętania tej okrutnej i nie mającej precedensu w dziejach wojny wziął pod uwagę wszystkie warunki geograficzne, klimatyczne i demograficzne Korei i Chin, co wymagało długich i skrupulatnych przygotowań.

Tak jak były wojny, których agresor nie wypowiadał, tak bodaj że czy nie wchodzimy w okres wojen — zauważa Farge — do których nie będzie się agresor przyznawał. Ale nie może to w najmniejszym stopniu sparaliżować naszej woli krzyczenia na świat cały prawdy o ohydzie takich metod walki. Świadczenie prawdzie jest naszym obowiązkiem chrześcijańskim — o tym musimy pamiętać.

Rut.

Jedność ludzi ofiarnych i mądrych

Pouczające są nieraz tu i ówdzie zasłyszane przygodnie słowa. Kto potrafi pośród spraw małych dostrzegać rzeczy ważne nie powinien przechodzić obok takich słów bezmyślnie. Bo jakże często pod powierzchnią najzwyklejszych ludzkich radości i trosk kryje się w nich to co przemawia do nas wielkością naszego czasu. Ludzi upośledzonych dawniej przez kapitalizm, którzy dziś odzyskali poczucie szlachetności każdego człowieka jest w Polsce miliony. I choć niejednemu z nich nie jest łatwo, choć niejeden z nich narzeka na takie lub inne, poważne lub błahe braki i niedociągnięcia to przecież zawsze w słowach ich znaleźć można coś co zastanawia. Jakaś nadzieja serc została wyzwolona i odtąd już musi być szanowana. Nazywa się to godnością prostego człowieka, jego prawem do tego, aby czuć się gospodarzem u siebie w domu.

Nie wszyscy ludzie chcą pamiętać o tym, że nie zawsze tak było. Nie wszyscy chcą pamiętać komu i czemu to zawdzięczamy. Bo aby wyzwolić tę nadzieję, aby godności prostego człowieka dać opiekę państwa gospodarującego dla prostych ludzi trzeba było faktów i decyzji, których nie każdy rozumiał i z którymi nie każdy — nawet bez złych intencji — umiał się zgodzić i współdziałać. Trzeba było wyzwolenia Polski przez Związek Radziecki, ujęcia władzy przez obóz ludowy i przystąpienia do trudnego dzieła społecznej przemiany. Wielkie decyzje musiały iść w parze z heroiczną pracą.

Szmat drogi przebyła Polska przez osiem lat. Tylko człowiek pełen uprzedzeń lub złej woli nie dostrzeże wielkości osiągniętych na tej drodze rezultatów. Powstały nowe domy i rosną nowe miasta. Zwrócone Polsce ziemie zostały zcalone z resztą kraju. Stare fabryki, kopalnie i huty, i nowe wzniesione potężnym rozmachem naszego budownictwa we władaniu państwa potroiły produkcję polskiego przemysłu. Reforma rolna położyła kres krzywdzie chłopskiej, a przebudowa rolnictwa otwiera perspektywy kulturalnego i ekonomicznego rozwoju wsi. Imponujący stał się wzrost oświaty, rozwój i upowszechnienie kultury. A podstawą tych osiągnięć był ofiarny i rozumny trud każdego uczciwego Polaka, który swoją pracą służył temu, co dziś stanowi słuszną dumę narodu.

Zespolone z sobą — mądrość i ofiarność — tworzą wielkie dzieła. Ale tych dzieł trzeba bronić. Oto od kilku lat widzimy jak przeciw temu, co osiągnięte zostało niespotykanym w dziejach Polski wysiłkiem twórczym, wyciąga się chciwie ta sama ręka, na której świeże są jeszcze ślady polskiej krwi. Odwetowcy z Zachodnich Niemiec inspirowani przez waszyngtońskie koła finansowe i militarne nie zaniedbują najmniejszej nawet okazji w rozpętywaniu antypolskiej nagonki. Nowa wojna — wiemy o tym z ich własnych wypowiedzi — ma umożliwić neohitlerowskiemu żołnierzowi zdeptanie Polski; a glob ziemski uczynić poligonem atomowych i bakteriologicznych doświadczeń. Przeciwko temu, przeciw wojnie, o pokój walczymy wspólnie z milionami ludzi innych narodów.

Umacnianie i rozszerzanie dotychczasowych zdobyczy i walka przeciw wojnie narzucają obowiązki konkretne. Trzeba wzmacniać siłę narodu, podnieść obronność kraju i rozwinąć jego gospodarkę. Polskę, która przestała być krajem słabym trzeba czynić krajem coraz silniejszym. Wykonanie Planu Sześcioletniego i przejście do następnego 5-letniego Planu stanie się mocną podstawą tej siły. Aby walczyć o utrwalenie pokoju, aby człowiek wyzwolony z kapitalizmu znajdował coraz pełniejsze warunki społeczne dla osobowego rozwoju, aby kraj był silny — konieczne jest zjednoczenie się w pracy i w walce wszystkich ludzi, którzy rozumieją naczelne potrzeby ojczyzny i którym jej los jest drogi. Front Narodowy umacnia i rozszerza tę jedność.

Jest to jedność działania. Bo zadania, które stoją przed całym narodem, przed każdym Polakiem wymagają czynu. Wymagają zwiększania ofiarną pracą bogactwa gospodarczego kraju, umacniania pokoju wewnętrznego, twórczego wkładu w rozwój kultury.

Jest to jedność ludzi różnych poglądów. Lecz nakazuje ona współudział każdemu kto rozwój, umacnianie i obronę ojczyzny uznaje za przedmiot swej służby. Jest to jedność opierająca się na przekonaniu, że wspólna praca i walka o wspólne dla całego narodu cele umacniać będzie braterstwo i wzajemny szacunek.

Do zjednoczenia w tej walce i do pracy dla tych celów wzywa nas ogłoszony Program Wyborczy Frontu Narodowego.

Tadeusz MAZOWIECKI

Stefan LICHAŃSKI

VOX HUMANA



Jarosław Iwaszkiewicz

OJCZYZNA

Prowincjo bałagulska! Stara Ukrajno! Mojaż
Ty poetycka ziemio!
(„Kareta pocztowa")
Dzień ten w cudownej krainie Gdzieś
— Tam w dziewięćset dwunastym lub jedenastym...
(„Na Spasa")

MŁODOŚĆ poezji Iwaszkiewicza upłynęła „w ziemi pogańskiej, ziemi cielesnej obfitości, ziemi ukraińskiej pełnej owoców i czarnoksięstwa". Umyślnie cytuję „Gody jesienne" zamiast powiedzieć wprost: na Ukrainie. Krąg socjalno-kulturowy bowiem, który zadecydował o ukształtowaniu się profilu tej poezji, mało miał wspólnego z życiem rzeczywistej Ukrainy. Był to krąg osiadłego na tamtych obszarach ziemiaństwa polskiego.

Przebywało ono na Ukrainie od kilku nieraz pokoleń a jednak pozostało jej obce. Praktycznie łączyła je z tą ziemią jedynie eksploatacja jej dóbr i pracy miejscowego chłopa; we własnym natomiast przekonaniu było ono najdalej na wschód wysuniętym bastionem „zachodu", jedynym pełnoprawnym reprezentantem oraz pionierem kultury na „Dzikich Polach".

Owo rzekome ambasadorstwo i pionierstwo nie zobowiązywało faktycznie do niczego; utwierdzało jedynie w poczuciu wyższości wobec „tubylców" oraz w poczuciu własnej godności i znaczenia. Bujnie rozkwitnęły na tym podglebiu sobiepaństwo i egoizm, hamowane co najwyżej poczuciem solidarności stanowej i — w mniejszym stopniu — narodowej. Atmosfera sprzyjała rozwojowi skrajnego indywidualizmu i egotyzmu.

Dobra kulturalne stały się dla tego środowiska jednym z elementów życiowego luksusu. Wysubtelnianie wrażliwości estetycznej oraz rozwój sprawności intelektu wydawały się celem samym w sobie. Potrzebne były do zapewnienia sobie we własnym środowisku pozycji „człowieka kulturalnego"; poza nim nie miały znaczenia. Kultura przemieniała się w kwiat pasożytniczej rośliny karmiącej się sokami obcej ziemi.

A czasy? Była to epoka zmierzchu europejskiego symbolizmu oraz „Młodej Polski". Wyczerpały się już zasoby wynalazczości estetycznej a miejsce jej zajęło stylizatorstwo, powielający zdobycze poprzedniego okresu epigonizm. W jałowej i wycackanej sztuczności artyzmu ostatnich lat sprzed pierwszej wojny światowej odbijała się bezradność ówczesnej sztuki europejskiej odzwierciadlającej schyłek „złotego wieku" burżuazji. Jakże pasowała to atmosfera stylizatorstwa, nadmiernie wydelikaconej a czczej „kulturalności" do potrzeb psychicznych środowiska, o którym mówiliśmy powyżej! Analogia sytuacji historycznej stwarzała odpowiednie warunki do asymilowania sztuki dogorywającego mieszczaństwa przez mieszkańców jednego z ostatnich w Europie rezerwatów feudalizmu.

Jednocześnie zaś działał urok tak bliskiego a tak obcego „wschodu" frapujący egzotyzmem nieznanej rzeczywistości, perwersyjnym urokiem „barbarzyństwa".

Tak oto wyglądała ojczyzna poetycka Iwaszkiewicza „w dziewięćset dwunastym lub jedenastym".

UCIECZKA DO BAGDADU

Wtulę się w jedwab poezji,
Zamknę się w szklanym kielichu...
(„Którzy nadchodzą")
A gdybyśmy tak razem uciekli do Bagdadu? Daleko stąd.
(„Ucieczka do Bagdadu")

W „pejzażach sentymentalnych" pisał Iwaszkiewicz: „Nie można Italii opisać słowami. Świata nie można opisać słowami. I trzy zadania poety: poznać, zrozumieć, odtworzyć — są mrzonką, jak szklana góra, jak pałac lodowy". Nie istnieje żadna współodpowiedniość pomiędzy światem a sztuką. Sztuka wyrazić może tylko poszczególne przeżycie jednostki, starać się odtworzyć jak najwierniej barwę uczuciową momentu, w którym szczęśliwy traf pozwolił nam dostrzec jakiś drobiazg wypływający na chwilę z bezładnego chaosu wszystkości, na jakiś „szczegół jak soczewka koncentrujący linie naszych przeżyć".

Poezja: czyli przeżywanie momentów absolutnego Teraz przez absolutne Ja. Jedyna więź łącząca owe poszczególne momenty to ich przynależność do biografii tego samego indywiduum. W gruncie rzeczy są one wszystkie jednakowo ważne i istnieją same dla siebie jako odrębne monady peotyckie.

Gdzie ty? — Daleko.
Kto ty? — Ja kwiat.
Białe kwiaty. Żółte kwiaty. Tak.

Skąd ty? Od planet
Płomienny dzianct.
Moja miłość M[illegible]wina. Tak.
(„Księga nocy", XXII)

Oto poezja całkowicie odlogiczniona, próba stworzenia jakiejś lirycznej algebry doznań emocjonalnych. Dać wyraz uczuciu przeżywanemu właśnie teraz, w tym właśnie momencie, zasygnalizować je — nie znaczeniem! — ale walorem emocjonalnym i muzycznym słowa — to jedyne jej zadanie.

W tej właśnie postawie poetyckiej znajduje się źródło owych często wytykanych Iwaszkiewiczowi przez krytykę a tak dla niego charakterystycznych zaniedbań artystycznych oraz przyczyna zbyt pobłażliwej selekcji utworów przeznaczonych do druku. Skoro każde przeżycie jest jednakowo ważne — jako jedyne — to ważny — jako jedyny i niepowtarzalny — jest także jego wyraz.

Mitologia własnego „ja" inspirująca tę poezję z gruntu irrealną i metalogiczną musi doprowadzić do odrzucenia wszelkiego problematowego hierarchizowania tematów i wątków literackich jak również do zanarchizowania metod pracy warsztatu poetyckiego.

*

POEZJA ta przetrwała zagładę swej ziemskiej ojczyzny. Rzec nawet można: wzbogaciła się o tę zagładę. Mit poetyckiego „ja" przeciwstawionego niepoznawalnemu i wrogiemu światu znajduje teraz dopełnienie w micie raju utraconego, w obsesji wspomnień, w poddaniu się urokowi wyidealizowanej, zlegendaryzowanej przeszłości. Z gruzów zniweczonej realności wznosi się poetycki „wieczny Bagdad", kraina marzeń i wspomnień, świat artystycznej fikcji, oderwanej od wszelkiej rzeczywistości o znaczeniu ponadjednostkowym, zamkniętej w pięknie „czystym": niezaangażowanym i niezobowiązującym. Wczesny okres poetyckiej twórczości Iwaszkiewicza — aż po „Księgę dnia i księgę nocy" — to „ucieczka do Bagdadu".

„W Bagdadzie w jesieni dojrzewają brzoskwinie... Są jak pęcherze napełnione słodką wonnością. Granaty pękają, jak krwawe strzępy mięsa, i leją sok złoto-czerwony, jak miód. Usta hurys są pełne niby granaty a słodkie niby brzoskwinie. Winne grona napełniają wielkie stragany, gdzie siedzą mądrzy, przemądrzy kupcy, którzy czytają święte rozmowy ptaków Mantikutair, którzy znają Gaty Zend-Awesty, których ojcowie czcili święty ogień w podziemnych świątyniach, którzy szanują święte słowa Sufich. Po sennych, ociężałych od żaru ulicach rozlewa się zapach wonności, dyszą różami zaułki, i wszystko tonie w szczęściu świętego słońca".

Oto Bagdad poety. A świat rzeczywistości? Cóż o nim powiedzieć można?

„Może Bóg strącił nas błąkających się z swych szat, abyśmy odlecieli w przepaść, niewiadomy świat, a może nie ma nas? Może tylko wicher gna bezcelowy, lecą, lecą nasze dusze jak żórawie. Czy widzi świt żóraw prowadzący? Nie, noc, a ptaki lecą" („Niebo").

Głos rzeczywistości brzmi jak złowieszczy krzyk owej czarnej małpy Harun z „Arabian nights" będący znakiem „abyśmy uciekali na oślep, pędem, rozpędem: w noc, w noc ciemną, bez gwiazd i bez końca" i abyśmy — wbrew swej świadomości — śnili z otwartymi szeroko oczyma, że ta ucieczka to podróż do Bagdadu, pielgrzymka do „wiecznego Bagdadu".

POWRÓT DO EUROPY

W twoją stronę, o Pawle, podnosimy oczy
Z pytaniem i zazdrością, tam gdzie wieczne toczy
Nurty swoje Sekwana.
(„Do Pawła Valéry")
...i rozsypują się wapienne mury Babilonu...
(„Do Tytusa")

WYDANY w 1931 r. „Powrót do Europy" jest wyrazem przełomu. Melancholijny elegik tęsknot za „wiecznym Bagdadem" powraca do Europy, aklimatyzuje się w kręgu klerkowsko-inteligenckim i staje się jednym z najbardziej reprezentatywnych piewców mitu kultury. Nie mógł nie przechorować tej formy nowoczesnego pogaństwa pisarz tak bardzo wierny swojemu czasowi, tak niezmiernie podatny na jego sugestie. Ulega Iwaszkiewicz bałwochwalstwu kultury pojętej jako zbiór tzw. wartości kulturalnych i jako suma tradycyj zobowiązujących do „stania na straży". Podziałał tu niewątpliwie urok mitu, przywodzącego na pamięć tak nieodparcie na psyche kresowców działający mit „przedmurza", ale wzbogaconego tematycznie, obejmującego swym mitologizującym czarnoksięstwem nieporównanie szerszą sferę elementów rzeczywistości.

Patronami poety stają się teraz Stefan George i Paweł Valéry. Okres ten przynosi szereg wierszy, których tematem są dzieła sztuki, oraz szereg w[illegible]anych esejów atakujących centralne zagadnienia owego europeizmu lat międzywojennych, daremnie usiłującego przy pomocy dobrej woli i szczerych chęci rozproszyć zaciemniające horyzont europejski chmury.

Bądź co bądź wejście w krąg zagadnień ponadindywidualnych okazuje się korzystne dla dalszego rozwoju poety. Twórczość jego wchodzi w fazę krystalizacji, staje się bardziej świadoma i zorganizowana. Iwaszkiewicz dąży teraz do osiągnięcia maksymalnej lapidarności i prostoty wyrazu. I — co ważniejsze — osiąga je, jak choćby w tym erotyku z „Lata 1932":

Przez tak pamiętny zapach siana
I woń pokorną chłopskich żniw —
Przyjdzie jak radość niespodziana
Wonniejszy uśmiech twój nad dziw.

Przyjdzie, rozproszy zapach trawy
I woń łubinu, lasu dym,
Wejdzie nieśmiały i łaskawy
Nad światem niby lata hymn.

I minie sobie tak zwyczajnie
Jak się wylewa wody dzban,
A nad dach domu i nad stajnie
Znowu się wzniesie wonność ścian.

I gdy noc zatrze mnie i ciebie
Najlepiej myśleć jest — daj dłoń, —
Że w czarnej ziemi, w sinym niebie,
Uśmiechu twego płynie woń.

Ale poza fasadą klasycystycznej dojrzałości płynie nurt niepokoju. Typowy dla Pawła Valéry i Stefana George ton pesymizmu, ton maskowanego lęku wraca raz po raz w wierszach Iwaszkiewicza. Retoryka wierszowanych esejów załamuje się, to przechodząc w patetyczną deklamację, to znów rozpływając się w nastrojowy liryzm, będący pogłosem poprzedniej fazy rozwoju poety. Mit przestaje wystarczać. Chwiejna równowaga porządku polityczno-społecznego będącego podbudową tego mitu nie może budzić uczucia pewności. Poeta potrafi jeszcze delektować się „męstwem niewiary", podmalowywać w ton filozoficznych dywagacyj uderzającymi refleksjami nastroje lęku i zwątpienia, ale coraz częściej sięga po tematykę spraw ponadjednostkowych, po zagadnienia ze sfery życia zbiorowości. Muza Iwaszkiewicza nie chce już poprzestać wyłącznie na bibelotach kameralnego liryzmu, jawi się jej inny, ambitniejszy cel: „chór prowadzić, święcony bogom, za Sofoklesem".

„ABY OTWARCIE ŚPIEWAĆ..."

Wstaniemy żywym ciałem z odwiecznych zgorzeli
I na otwartych oczach wzniesiemy powieki,
Ponad umarłe światy i umarłe wieki,
Tak jak to namalował Luca Signorelli...

Wtedy dopiero, Luca, pojmiemy, że życie
Jest pełne prawdy bożej, nie puste okrutnie,
I że prawdziwe dały nam anioły lutnie,
Aby otwarcie śpiewać — a nie brzęczeć skrycie.
(„W Orvieto")

Raz jeszcze wróćmy do „Pejzaży sentymentalnych":

„W altanie z brzozy płaczącej zasiąść nad źródłami słów, toczących się jak rosa, i wiedzieć tylko jedno. Nie móc przezwyciężyć siebie i swego lenistwa, i swej niemożności wyjścia poza siebie i posiadania palącej jednej prawdy, która by stanowiła o wszystkim.

„Jeden jest tylko smutek — powiada Leon Bloy — to nie móc być świętym".

„Jedyną książką może być albo biblia, albo żadna książka nie może być jedyną". („Wiosna w Paryżu").

Nie jest to jeszcze pragnienie wiary. To dopiero wyobrażenie sobie możliwości takiego pragnienia. Odezwie się ono dopiero w kilka lat później, gdy nadejdzie „wiek męski, wiek klęski", a wraz z nim potrzeba zdecydowanego samookreślenia. Przychodzi czas, kiedy nie można już dłużej po krainie poezji „jechać księżycowi". Własna twórczość zaczyna być problematem: trzeba szukać jej uzasadnienia. W poszukiwaniu tym trudno ominąć sferę wiary religijnej. Trudno poprzestać na „męstwie niewiary" na przeświadczeniu, „że sen jak i życie nie ma żadnych wykładni, żadnego znaczenia".

...Jeśli i tym razem snu mi nie wyłożysz
I raz jeszcze mi powiesz, Menalku: „snem życie,
I nic nie ma na świecie żadnego znaczenia",
Zawołam tobie: jak to, nawet ja, poeta,
Nawet moje płomienie i moje cierpienie
Nie są świadectwem życia? Nawet ja, ta gwiazda
Spadająca w boleści, nawet moja dusza
Nie jest żadnym odblaskiem prawdy i wieczności?
Precz ode mnie! Nie pragnę ja twojej mądrości,
Nie chcę słów twoich pustych i nie chcę Wszechświata
Pustego. Żegnaj, druhu! Sam poszukam wiary.
(„Do Menalka")

Warto zastanowić się nad owym „dowodem ze sztuki": harmonia sztuki jako odpowiednik harmonii porządku naprzyrodzonego. Jakże daleko odszedł Iwaszkiewicz od „szklanego kielicha" artyzmu, od postawy uciekiniera przed rzeczywistością w fata-morganę „wiecznego Bagdadu". Talent twórczy to — wyciągając wnioski z koncepcji sztuki wpisanej w wiersze zebrane w tomie „Inne życie" — wyzwanie człowieka przez Boga, to zobowiązanie.

Motywy religijne występowały również we wcześniejszej fazie twórczości Iwaszkiewicza. Jeżeli jednak dawniej (np. w tomie „Legendy i Demeter") zjawiały się one albo jako preteksty tematyczne („Legendy"), albo też jako wątki desenia poetyckich fantazyj o mitologiczno-symbolicznym charakterze („Gody jesienne"), teraz stają się ośrodkami krystalizacyjnymi utworów o nieprzeciętnej wartości artystycznej. Myśl poety wchodzi w orbitę świadomości chrześcijańskiej i wyłamuje się ostatecznie z kręgu niezobowiązującego piękna czystego artyzmu:

Heleno, stój, Heleno, — zmieniasz się jak tęcza.
Przemieniasz, przeanielasz, ulatujesz wzwyż,
W krocie świateł rozpraszasz kwieciste naręcza
I z powijaków róży rozpowijasz... krzyż.
(„Helena")

UKŁADAJĄCY SŁOWA DLA POLAKÓW

Ach, Jarosławie, myśl o żywych, proszę,
I nie słuchaj umarłych muzyki w gęstwinie.
(„Ciemne ścieżki")

Zmartwychwstać — znaczy się urodzić.
(„Zmartwychwstanie")

Ostatnia faza poetyckiego rozwoju Iwaszkiewicza nie zaczęła się dopiero po wojnie. Jeszcze przed jej wybuchem powstają wiersze takie jak „Pożegnanie Sycylii" czy „Oda na Gdańsk", świadczące że poeta umie widzieć realistycznie rzeczywistość historyczną, umie w imię sprawy narodu i człowieka wyjść poza lirykę osobistą. Wtedy właśnie zaczął się jego drugi — i ostateczny już — powrót do Europy, tym razem jednak nie Europy inteligenckich mitów i bożyszcz, ale realnej Europy krwawiącej w zmaganiach z faszystowskim imperializmem.

Nie podobna wyzwolić się zupełnie od własnej przeszłości i dlatego nieraz odzywają się jeszcze u Iwaszkiewicza tony znane z dawniejszej jego twórczości (pesymizm „Plejad", zagubienie centralnego motywu w „Tristanie przebranym" pod secesyjną w swym przeciążeniu sztukaterią poetyckiego zdobnictwa), ale mimo to wyraźnie manifestuje się w wierszach z okresu wojennego i powojennego solidarność z siłami postępu społecznego, z obozem pokoju i demokracji.

Wiersze te ważne są przede wszystkim jako dowód zwycięstwa poety nad sobą samym, jako wyraz tryumfu postawy zaangażowanego ideowo twórcy i rzecznika konkretnych wartości humanistycznych nad własnymi artystostwem i determinującymi je nałogami myślenia egotycznego i ahistorycznego.

(Dokończenie na str. 9)

Rudolf BUCHAŁA

Drogi współczesnej demokracji chrześcijańskiej (II)

„DEMOKRACJA chrześcijańska nie byłaby tak żywo dyskutowana gdyby nie zawierała w sobie kwestii spornych, gdyby mogła wynikać z Ewangelii niejako „more geometrico". Wielu spośród chrześcijan odznaczających się surowością uważa demokrację chrześcijańską za poważny błąd historyczny nie tyle ze względu na ogrom rozczarowań...-ale raczej z uwagi na pewną systematyczną aprioryczność" — pisał niedawno temu Etienne Borne podkreślając w dalszym ciągu z wielką słusznością: „Ani najbardziej ślepy i naiwny entuzjazm jednych ani odmowa, choćby najbardziej stanowcza i podyktowana namiętnością, innych nie mogą być potępione w imieniu chrześcijaństwa".

KONSERWATYZM

CZYŻ stałe niebezpieczeństwo konserwatyzmu grożące chrześcijańskiej demokracji nie wynika między innymi właśnie z tej systematycznej aprioryczności, która chce programy polityczne dedukować z jakiegoś z góry założonego wzoru czy nawet z Ewangelii i nadawać im cechy niezmienności, jak niezmienne są zasady Ewangelii? Taki dedukowany program usiłuje się potem realizować bez względu na rzeczywistość doczesną domagającą się całkiem innych zobowiązań. Tu tkwi również błąd programowego kierunku antysocjalistycznego chrześcijańskiej demokracji, wykorzystywanego skrzętnie przez wszystkie czynniki świadomie konserwatywne, które znajdują w partiach demo-chrześcijańskich dogodne schronienie, jak to obserwować można na zachodzie Europy. Stwierdzając materialistyczną motywację współczesnego socjalizmu, chrześcijańska demokracja, mimo iż jest ośrodkiem przede wszystkim politycznym, uważa za swoje zadanie walkę z tą cechą współczesnego socjalizmu. Co więcej również z całym programem społeczno-gospodarczym socjalizmu, choćby nawet wskazywał słuszne i skuteczne drogi rozwiązania problemów społeczno-gospodarczych. Rzecz jasna, że takie stanowisko służy jako dogodny parawan dla tych wszystkich którzy ukrywają za nim cele często nawet sprzeczne z celami chrześcijańskiej demokracji.

SAKRALIZM.

DLA demokracji chrześcijańskiej, jako stronnictwa „chrześcijańskiego" wśród stronnictw „laickich" zbyt wielka jest pokusa wyprowadzania jego programu „more geometrico" z Ewangelii. Ale wtedy każda krytyka tego programu jest przyjmowana przez jego zwolenników jako krytyka Ewangelii; obrona zaś tego programu równa się obronie Ewangelii. Zjawisko zupełnie doczesne, przyrodzone, jakim jest program partii działającej w określonym czasie i miejscu i skutkiem tego zmuszonej uwzględnić warunki tego czasu i miejsca nabiera cech sakralnych, tj. cech czegoś co ma charakter religijny. W ten sposób następuje swoisty proces z jednej strony uwieczniania doczesności, z drugiej zaś naturalizacji nadprzyrodzoności. Albowiem jeżeli Ewangelię mającą wartość ponadczasową angażuje się w ten sposób bezpośrednio w interesy pewnych grup społecznych reprezentowanych przez określoną partię polityczną trudno jest uniknąć niebezpieczeństwa traktowania jej tak jak programu politycznego stronnictwa.

Etienne Borne zajmując się tym zagadnieniem i referując pogląd na tę sprawę ludzi, których stanowisko nazywa „pozytywizmem politycznym" pisze: „Pewien pozytywizm polityczny... wyrzuca demokracji chrześcijańskiej, że zupełnie niepotrzebnie wprowadza rozważania czysto religijne do dziedziny, która należy do pewnej „fizyki" lub też pewnej socjologii czysto racjonalistycznej. Jeżeli prawdą jest, że polityka jest nauką stosowaną, to w jaki sposób można ją poczytywać za natchnioną przez chrześcijaństwo? Jeżeli demokracja liberalna i burżuazyjna jest przeciwna prawom porządku i postępu, to usiłowania sprzymierzenia jej z najwyższymi wartościami duchowymi nie są próbą ocalenia skazanego na zagładę ustroju, ale stanowią wynaturzenie i kompromitację chrześcijaństwa. Biblia nie jest kompetentna w sprawach astronomicznych i nie może decydować o wyższości systemu Kopernika czy Ptolomeusza. Tak samo, aby dowiedzieć się czy historia grawituje wokół naszej zachodniej demokracji czy też prawami jej rządzi jakieś dalsze centrum w czasie albo przestrzeni, nie potrzeba zaglądać do Starego ani Nowego Testamentu. Jeśli religia chrześciańska ma na celu jedynie objawienie nam tajników duszy i tajemnic przyszłego Królestwa Bożego, wówczas każda polityka mająca swe źródło w Piśmie Świętym będzie reakcyjna, nadużywać będzie świętości i przeszkadzać będzie trzeźwym poglądom na fakty historyczne. Dlatego też nie jest niespodzianką, że teoria demo-chrześcijańska wpada zawsze w pewien ton moralizujący i w sentymentalne gadulstwo, nieznośne dla umysłów o poczuciu rzeczywistości i o nastawieniu naukowym, ludzi zdecydowanych oddawać co cesarskie cesarzowi a co Boskie Bogu". Chociaż trzeba się odciąć od akcentów „pozytywistycznych" niewątpliwie zawartych w tym poglądzie, to jednak nie można zaprzeczyć głębokiej troski o właściwe rozgraniczenie spraw przynależnych do różnych porządków, jaka mieści się w tym zapatrywaniu „naturalistycznym". Bo jeżeli teoretykom chrześcijańskiej demokracji uda się wytworzyć opinię, że ich program istotnie może się wywodzić bezpośrednio z Ewangelii, to wtedy zdezaktualizowanie się tego programu będzie uważane za zdezaktualizowanie się Ewangelii a słabość chrześcijańskiej demokracji za niemoc chrześcijaństwa.

Trudno wymagać od ludzi stojących poza chrześcijaństwem aby traktowali je jako zjawisko z istoty swej ponadczasowe, jeżeli sami chrześcijanie wywołują sugestię, że potrzebuje ono reprezentacji politycznej, której zadania są przecież całkiem inne. Zresztą samo łączenie wyrazów: „chrześcijańska" i „demokracja" napewno również nie przyczyni się do uwypuklenia ponadczasowej treści chrześcijaństwa, zwłaszcza dla ludzi, którzy znają treść jaka kryje się dzisiaj za pojęciem demokracji na Zachodzie i którzy pamiętają, jak to w ubiegłym stuleciu zwolennicy tzw. ralliément uważani byli przez chrześcijańskich zwolenników monarchii za złych chrześcijan. Poza tym trzeba mieć na uwadze, że jeśli ludzie stojący poza chrześcijaństwem a mający skłonność widzenia wszystkiego w kategoriach politycznych, dostrzegają różnice w programach poszczególnych stronnictw demo-chrześcijańskich, przeważnie przyczyn tych różnic doszukiwać się będą w samych podstawach chrześcijaństwa.

KLERYKALIZM

OMAWIAJĄC pokusy grożące chrześcijańskiej demokracji, pokusę klerykalizmu nazwał Borne „jedną z najpoważniejszych". Przyczyną jej jest między innymi to, że chrześciańska demokracja prowadzi tradycyjną politykę przeciwko radykalnym partiom mieszczańskim i socjal-demokratycznym, których programy były kształtowane w wysokim stopniu przez hasło antyklerykalizmu. Ale zamiast ograniczyć się do krytyki i przeciwdziałania fałszywemu rozumieniu tego pojęcia przez owe partie, demokracja chrześcijańska popadała w klerykalizm tylko dlatego, że był on przeciwny hasłom radykałów i socjal-demokratów.

Jest jednak przyczyna głębsza i o tą głównie chodzi. Jeżeli za podstawowe źródło doktryny społecznej i politycznej uznaje się wprost Objawienie — do czego skłonna jest chrześcijańska demokracja — to musi to doprowadzić do zwiększenia roli duchowieństwa w działalności politycznej katolików. Duchowny bowiem jest tym upoważnionym do wykładu Objawienia i wyciągania zeń bezpośrednich wniosków jak ma się kształtować współżycie społeczne między ludźmi. Nie wspominając już specjalnie o tym, że jest to zapoznanie zasadniczej roli Objawienia w życiu człowieka, wytwarza się tu taka sytuacja, jakoby w sprawach polityki, społecznych, gospodarczych, kulturalnych, gdzie duchowny i świecki są równouprawnieni, ten ostatni miał być tylko odbiorcą tez wyłożonych przez duchownych nie będąc sam uprawnionym do dociekań w tej dziedzinie; duchowny zaś, którego zasadnicze zadanie leży również gdzie indziej zostaje przez to odeń w sposób nadmierny odciągany. Jeżeli natomiast doktrynę dotyczącą interesujących nas tu spraw traktuje się tylko od strony jej niesprzeczności z nakazami moralności opierając ją poza tym na właściwej diagnozie rzeczywistości doczesnej odpowiedni udział w jej kształtowaniu przez świeckich jest zapewniony gwarantując równocześnie czynnikowi duchownemu moment kontroli tej niesprzeczności, którego żaden działacz katolicki pominąć nie może.

Poza tym trzeba pamiętać, że ewentualne wyciągnięcie błędnego wniosku z Ewangelii odnośnie spraw polityczno-ustrojowych może oznaczać jej błędną interpretację, natomiast gdy doktryna oparta o obserwację rzeczywistości doczesnej i wymogi prawa naturalnego stanie w sprzeczności z moralnością oznaczać to będzie najwyżej, że fałszywa jest albo diagnoza tej rzeczywistości albo interpretacja prawa naturalnego.

„GHETTO CHRZEŚCIJAŃSKIE"

CHRZEŚCIJAŃSKA demokracja niewątpliwie powstała również z myśli o zagwarantowaniu moralności chrześcijańskiej szerszego oddziaływania w życiu społecznym i politycznym przez zorganizowane działanie chrześcijan. Tymczasem wydaje się, że osiąga ona skutek wręcz odwrotny. Występowanie w życiu politycznym z szyldem „chrześcijańska" musi w czasach kiedy rozbicie religijne i świat poglądowe jest faktem nezaprzeczalnym być przeszkodą dla współpracy ze środowiskami chrześcijańskimi tych wszystkich ideowych ludzi, którzy nawet mogą się zgadzać z niektórymi zasadniczymi tezami środowisk chrześcijańskich, ale nie chcą, aby ich przystąpienie do takiego środowiska o określonej postawie światopoglądowej było interpretowane jako rezygnacja z własnych założeń światopoglądowych. W ten sposób utrudnione jest jedno z naczelnych zagadnień współczesności, jakim jest porozumienie chrześcijan z niechrześcijanami w interesującym nas zakresie działania. Dlatego jest niewątpliwym osiągnięciem opuszczenie przymiotnika „chrześcijański" w nazwie MRP. Innym jest oczywiście problem, czy polityka realizowana przez MRP może uchodzić za „chrześcijańską". Możnaby zarzucić, że nazywanie odnośnych ruchów chrześcijańskimi nie przeszkadza dzisiaj na Zachodzie przystępowaniu do nich również i niechrześcijanom. Wszystko wskazuje jednak na to, że są to ludzie, którym żadne określenie światopoglądowe ruchu nie przeszkadzałoby do niego przystąpić, jeżeli tylko widzą możność przy jego pomocy osiągnąć własne cele. Przekonuje nas o tym przegląd tych wszystkich sił, które weszły w początkowej fazie do CDU tylko dlatego, że nie było bardziej na prawo uplasowanego stronnictwa, ale które po zaistnieniu możliwości utworzenia takiego szybko wystąpiły z CDU aby utworzyć własne partie.

Dla ludzi zdających sobie sprawę jak wielkiej wagi słowo angażują w określenie swego ruchu nazwanego chrześcijańskim, przymiotnik ten może stać się przyczyną wahań w sytuacji wymagającej zdecydowanych pociągnięć, jednak nie pozbawionych momentów pewnego ryzyka. Jeżeli bowiem w wyniku okaże się, że ryzyko było zbyt wielkie — najczęściej będzie się nim obciążało nie ludzi działających w ruchu nazwanym chrześcijańskim ale samo chrześcijaństwo. Jeżeli zaś ludzie ci w poczuciu wielkiej odpowiedzialności nie podejmą nawet najmniejszego ryzyka społecznego czy politycznego — absencja w danej słusznej akcji ruchu nazwanego chrześcijańskim będzie notowana jako absencja chrześcijaństwa.

*

NASZE zastrzeżenia, nasza odmowa wynika więc z tego, iż istotnie uważamy chrześcijańską demokrację na obecnym etapie rozwoju dziejów ludzkich za poważny błąd historyczny. Od błędów takich nikt z nas nie jest z góry ubezpieczony. Ale „katolicy nie są katolicyzmem i błędy... katolików nie obciążą katolicyzmu. Katolicyzm nie jest obowiązany służyć jako alibi dla niedociągnięć katolików. Najlepsza obrona nie polega na usprawiedliwianiu katolików albo na tłumaczeniu ich gdy się mylą lecz przeciwnie, na wykazywaniu tych błędów przy równoczesnym podkreślaniu, że błędy te nie naruszają istoty katolicyzmu, że nawet przyczyniają się do jeszcze jaśniejszego naświetlenia religii zawsze żywej mimo błędów katolików. Albowiem Kościół jest tajemnicą. Głowę ma ukrytą w niebie a to co z niego jest widoczne nie jest jego adekwatnym obrazem!". Chcielibyśmy, aby i nasze zastrzeżenia zostały przyjęte w duchu tych słów Maritaina.

„Ziemskość od świata"

Pięćdziesięciodwuletni Jack Lindsay, urodzony w Australii, studia wyższe — historię — ukończył w Anglii, gdzie też dał się poznać jako postępowy powieściopisarz, autor licznych utworów z przeszłości Anglii, jak też szeregu prac o charakterze publicystyczno-naukowym. Swą przynależność do obozu pokoju zaakcentował obecnością na wrocławskim Kongresie Intelektualistów, odwiedził również Polskę jako członek angielskiego Komitetu Obrońców Pokoju.

Czytelnikowi polskiemu przyswojone zostały trzy pozycje z dorobku twórczego Lindsay'a, powieści: „Ludzie roku 1848", „Stracone prawo" (rzecz o rewolucji przemysłowej w Anglii) oraz „Łuny nad Smithfield" *).

Akcja tej ostatniej powieści rozgrywa się w roku 1558, u schyłku panowania Marii Katoliczki, córki Henryka VIII. O ile jednak zarówno Henryk VIII jak i jego następca Edward VI byli rzecznikami nowoutworzonego kościoła anglikańskiego, o tyle Maria drogą okrutnych prześladowań postanowiła przywrócić w kraju katolicyzm, co niestety, podyktowane było nie tyle chęcią przywrócenia Bogu „zbłąkanych owieczek" ile raczej względami natury polityczno-ekonomicznej. Prześladowania te, poczynając od konfiskaty dóbr poklasztornych, a kończąc na paleniu na stosie setek niewinnych ofiar, nie tylko nie stłumiły ruchu reformacji, ale przeciwnie, powiększyły szeregi protestantów. Ponura działalność eksterminacyjna Marii Tudor stanowiąc — z jednej strony czarną kartę w dziejach Anglii oraz niosąc niepotrzebne męczeństwo wielu ofiar, z drugiej strony — jest jaskrawym przykładem typowego dla monarchii nadużywania władzy ziemskiej w oparciu o autorytet Boski. Jest rzeczą oczywistą — i nie odkrył tej prawdy Jack Lindsay — że przywracanie „heretyków" na łono Kościoła poprzez płomienie stosu było zaprzeczeniem zasad katolicyzmu, zaprzeczeniem jego istoty i dlatego w konkluzji musiało przynieść spotęgowanie się protestantyzmu — po prostu jako odruch buntu przeciw masowym egzekucjom.

Wypadki roku 1558 ukazuje nam autor na dwóch płaszczyznach. Oglądamy je poprzez dzieje mieszczańskiej rodziny Rigeley'ów, której przedstawiciele bądź są skrupulatnymi rzecznikami polityki królewskiej, jak Wiliam, bądź znajdują się na przeciwległym jej biegunie jak Stephen, bądź też są to zwykli obwiesie i oczajdusze jak Jones.

Druga płaszczyzna, stwierdzająca niezbicie przynależność Lindsay'a do gatunku historyków-szperaczy, to liczne wstawki — cytaty pisarzy współczesnych w opisywanej epoce, a dotyczące przesłuchiwań, tortur i egzekucji. To połączenie narracji autora z urywkami autentycznymi, jeśli wierzyć Lindsay'owi-historykowi, dokumentów krwawego panowania Marii Tudor — daje w sumie dość mocne i sugestywne wrażenie.

Nie należy się dziwić, że autor całym sercem stoi po stronie prześladowanych zarówno tych bliskich sobie bohaterów powieści jak i tych nieznanych, których imiona wspominają fragmenty starych kronik. Nie należy się też dziwić, że postaci obozu królewskiego, biskupi-inkwizytorzy czy też siepacze miejscy nie cieszą się sympatią narratora. Uwidacznia się to w rysunku poszczególnych sylwetek. Jest to zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę myśl przewodnią utworu.

Jest w książce Lindsay'a piękna i bardzo znamienna dla całości utworu scena, w której prześladowany, ukrywający się przed ludźmi anglikanin Stephen, spotyka w swej wędrówce zakonnika — franciszkanina. Po kilku słowach rozmowy zakonnik zdaje sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Daleki jest jednak od zadenuncjowania Stephena. Zakonnik nie solidaryzuje się z akcją eksterminacyjną. Uważa, że za swe przekonania religijne, rozbieżne z dogmatami Kościoła, Stephen może być odpowiedzialny wyłącznie przed Bogiem, nigdy przed ludźmi. Na pełne tragizmu pytanie, umęczonego ucieczką przed stosem, Stephena, czy wobec tego zakonnik może przyznać, że są i złe poczynania w Kościele — franciszkanin odpowiada: „Ma on w sobie ziemskość od świata, a boskość od Boga".

Biorąc za punkt wyjścia to ważkie zdanie, można by zaryzykować twierdzenie, że myślą przewodnią książki Lindsay'a nie jest potępienie idei katolicyzmu, Lindsay potępia niewłaściwą jej realizację na określonym odcinku historycznym, sprofanowanie jej i wyzyskanie dla niskich celów rozgrywek politycznych.

G. K.

*) Jack Lindsay — „Łuny nad Smithfield". Tłum. z angielskiego Br. Zieliński. „Czytelnik" Katowice — 1951 r. Str. 354.

TEODOR HAECKER

W miarę, jak upływa czas, zagranica zaczyna się coraz bardziej interesować osobą i działalnością pisarską Teodora Haeckera. Była to bowiem, istotnie, pod każdym względem niezwykła osobistość, zwłaszcza, jeśli się weźmie pod uwagę zasadnicze tło kulturalne Niemiec ostatnich dziesiątek lat. Niezwykła była u Haeckera żarliwość religijna i głębia myśli. Niezwykła była u niego zgodność poglądów i przekonań z praktyką, z życiem, czego najlepszym dowodem były cierpienia, jakie przeżywał w okresie hitlerowskim i spowodowana nimi jego przedwczesna śmierć (w kwietniu 1945). Posiadał kulturę o rzadkiej rozległości. Jego umysł wolny był od ciasnoty horyzontów oraz od skażenia nacjonalistycznego. Mało pisarzy w Niemczech współczesnych władało tak mistrzowsko jak on sztuką słowa. Z problemami swej epoki rozprawiał się nie tylko w swych medytacjach filozoficznych, ale również w licznych polemikach i satyrach.

Nazwano go najznakomitszym pisarzem katolickim Niemiec dzisiejszych i najbardziej namiętnym myślicielem od czasów Nietzschego.

Duża też zasługa Haeckera dla literatury niemieckiej polega na tym, że przyswoił on Niemcom Kierkegaarda i kardynała Newmana zarówno w wybornych przekładach jak i w licznych studiach i rozprawach poświęconych tym myślicielom.

Do oryginalnych dzieł Haeckera należą „Chrześcijaństwo i kultura", „Prawda i życie", „Co to jest człowiek?", „Kuszenie Chrystusa", „Wirgiliusz, ojciec Zachodu" i „Pamiętnik osobisty", pisany w latach 1939 — 1945.

Autor, któremu reżim hitlerowski zakazał już w roku 1935 przemawiać publicznie, a od roku 1938 nie zezwalał na druk żadnej książki z wyjątkiem przekładu „Pamiętników Kierkegaarda", całe bogactwo swoich przeżyć wewnętrznych i myśli doznawanych w najbardziej dramatycznym dla jego narodu okresie, jaki stanowiły lata drugiej wojny światowej, pomieścił w niekrępowanej żadnymi względami na cenzurę formie osobistych notatek, pisanych przeważnie w nocy z uwagi na grożące w dzień niebezpieczeństwo ze strony Gestapo, które zresztą raz wtargnęło już do jego domu. Stąd tytuł: Tag-und Nachtbuecher. Stąd też jest to jedno z nielicznych dzieł piśmiennictwa niemieckiego, powstałych w kraju, w klimacie konspiracji.

*

Haecker z góry przewidując klęskę Trzeciej Rzeszy liczył na szybką publikację swych pamiętników po zakończeniu działań wojennych. Dlatego też sam przygotował oryginał przeprowadzając w nim selekcję zapisków, wyłączając bardziej osobiste. Pracy tej jednak nie zdążył wykonać zarówno z powodu choroby jak i rychłej śmierci (9 kwietnia 1945). Uczynił to jego przyjaciel, Heinrich Wild, kierując się wskazówkami uzyskanymi już poprzednio bezpośrednio od autora.

Na czym polega znaczenie tego dzieła?

Jest to najpoważniejsza książka Teodora Haeckera, „świadectwo ogromnej potęgi językowej i myślowej" oraz „wyżyn poznania i widzenia nie osiągniętych w żadnej innej książce Haeckera" (H. Wild).

Jest to jedno z rzadkich dzieł wojennego piśmiennictwa niemieckiego, zwłaszcza katolickiego, które dają wyraz zdrowym, pozytywnym elementom narodu niemieckiego i jego moralności.

Jest to przejmujący dokument oceny i przeżycia wielkiej katastrofy narodowej i cywilizacyjnej, jaką stanowił hitleryzm i wywołana przezeń druga wojna światowa, z postawy integralnie religijnej.

Jest to wreszcie jedno z najgłębszych dzieł współczesnej duchowości katolickiej, łączące wyjątkową intensywność i siłę wiary z myślą na wskroś nowoczesną, uniwersalistyczną i postępową.

Tematycznie „Pamiętnik" Haeckera odznacza się niezwykle rozległą skalą: uwagi w nim zawarte dotyczą zarówno pewnych konkretnych współczesnych wypadków dziejowych lub militarnych, jak i ogólnej oceny faszyzmu, hitleryzmu i narodu niemieckiego, odnoszą się do teologii, moralistyki, psychologii indywidualnej i zbiorowej, religioznawstwa, metafizyki, estetyki, literatury współczesnej. Mamy tam esencję duchową, wyciągniętą z wielu niesłychanych wydarzeń dziejowych lat wojennych, często całymi miesiącami nie wspomnianych ani jednym słowem. Jednolitość tym refleksjom i dłuższym wywodom, przypominającym swą temperaturą „Myśli" Pascala, nadaje spojrzenie na całość losów ludzkości z punktu widzenia nadprzyrodzonego, z punktu widzenia Królestwa Bożego, istotnej domeny ducha Haeckera, ocena współczesnego dramatu dziejowego jako jedynie części tej nierównie rozleglejszej historii, której celem jest urzeczywistnienie Zbawienia.

Co się tyczy *przekładu* na język polski dzieła Haeckera, to mimo, iż pisarz ten należał do największych stylistów w literaturze współczesnej, to jednak bardzo indywidualna, intelektualistyczna jego proza przysparza tłumaczowi liczne trudności, płynące przeważnie z konieczności zmagania się z bardzo swoistym i niezwykle bogatym światem duchowym.

Poniżej dajemy wybór z zapisek Haeckera powstałych jesienią i zimą 1939 r.

Al. Rogalski

TEODOR HAECKER — ZAPISKI

Która to z kolei noc dzisiaj, odkąd prowadzę me zapiski? Nie wiem, nie liczyłem ich. Były szczęściem mego życia. A przecież każdej nocy broniłem się przeciw jej trudom, zanim przemogło mnie jej szczęście.

Zapiska z 20 sierpnia 1940.

ROK 1939

Nie dowierzaj radości, która nie jest zarazem wdzięcznością!

*

Przerażające, jak wymiera myśl! Ktoś potrafi powiedzieć, że człowiek wprawdzie przemija. Niemiec jednak jest wieczny. Ta sama osoba nigdy nie zdoła wyciągnąć wniosku, że wobec tego Niemiec nie jest widocznie człowiekiem...

*

Tylko intelektualna i moralna pospolitość mniema i nawet głosi publicznie, gdy podnosi się do potęgi bezwstydu, że nie chodzi o „jak", że metody są obojętne. Naprawdę jednak rozstrzyga o wartości człowieka czy polityki „jak". Rewolucja, która przyniosło chrześcijaństwo, jest rewolucją spod znaku „jak".

*

Listopad.

Dla doczesnej metafizyki kamieniem obrazy jest tajemnica. Nie dostrzegać jej lub chcieć ją wyjaśnić, obalając hierarchiczny porządek rzeczy — skłonność ku temu grozi z natury wszelkiej takiej metafizyce. Nawet najprawdziwsza i najgłębsza oddziaływa w sposób płytki w porównaniu z przepaścistością Objawienia. W gruncie rzeczy nie umie uszanować nawet prawdziwej natury rozumu.

*

Przeraża mnie w tych dniach tajemnicza zdolność ludzkiego głosu: niezależnie od tego, co mówi, samym swoim brzmieniem potrafi on, nie tylko indywidualnie, lecz w sposób typowy i powszechnie znaczący, zdradzić duchową śmierć całego narodu, śmierć tę obwieścić, rozgłosić! Głos „zapowiadającego"!

*

Obłuda i bezwstyd są dwoma biegunami ludzkiej przewrotności. Mimo jawnego gniewu, który wzbudził w Chrystusie bezwstyd przekupniów w świątyni, oburzenie na obłudę faryzeuszy nie było zapewne mniejsze.

*

Rzecz tak się bodaj ma, że całe połacie ludzkich dziejów stoją pod znakiem mierności; a przecież bohaterzy i geniusze mierności pojawiają się mimo to rzadko. Bohaterem półinteligencji był w nowszych czasach, przynajmniej dla niemieckiego narodu Houston Stuart Chamberlain. Nawarzył on zupy, przy której popsuło sobie mózgi całe pokolenie o słabej umysłowej konstytucji. Z jakimiż skutkami dla życia praktycznego! Wielki Boże!

*

Są chwile, gdy godzina jest ci tyleż warta co milion lat, lub tyleż samo niewarta, ponieważ nie jest wiecznością... Bo duch żąda wieczności. Ona jest jego ojczyzną. Dopóki tego nie pojął, jeszcze nie odnalazł sam siebie.

*

„Wola i prawda". A powinno być „prawda i wola" — oto temat. Dziwne, jak bardzo wola chce się przeciwstawić temu hierarchicznemu porządkowi. Jak gdyby rzeczywiście „z natury rzeczy" najpierw przychodziła wola: Cóż z ciebie za służalec, doktryner, skrupulat, aby mówić: „prawda i wola". Nie, posłuchaj: „wola i prawda". To brzmi nieodwołalnie i władczo: świat jako wola i wyobrażenie.

*

Bezgraniczne i trwałe zadowolenie człowieka byłoby obrazem nicości, z której został on stworzony; bezgraniczne i trwałe niezadowolenie — obrazem piekła, które wybrał.

*

Jest to przywilejem chrześcijanina, że gdy modli się on do Chrystusa, modli się po imieniu do prawdziwego Boga. Jest to znak czasu. Kto wypowiada dziś słowo „Bóg", ten może mieć na myśli jedynie los albo nawet budzącą grozę karykaturę „Opatrzności". Kto modli się do Chrystusa, ten modli się siłą rzeczy do Ojca, który jest Bogiem jak Chrystus, i do Ducha Świętego, który jest Bogiem jak Ojciec i Syn. I nie może nawet być inaczej. Nic tak dzisiaj nie różni umysłów jak sprawa uznania Trójcy.

*

Problem: W nocy było światło, które znowu stało się nocą. Ktoś budzi się z oczyma i twarzą mokrymi od łez. Wie, że miał sen, ale nie pamięta już, o czym śnił. A jednak inne będzie od tej nocy jego życie. Otrzymał światło, które ukazuje mu zgoła nowe wymiary bytu. Tylko źródło światła tonie w głębokiej ciemności.

*

Ubóstwienie cielesnej tężyzny i zdrowia siłą rzeczy wiedzie najpierw do pogardy starości, ale za tym również do pogardy mądrości. W europejskim kręgu kulturalnym, zarówno przed- jak i po-chrześcijańskim, nigdy tego dotąd nie było. Ani, zresztą, w kręgu kultur wschodnich. Jest to jakieś spustoszenie dusz, którego Bóg nie dopuści — tego możemy przy naszej chrześcijańskiej wierze być pewni. Zbyt wielu „Ojców" cierpiało za nas i niosło nam naukę.

*

3 grudnia

„Dzieci świata" upatrują wielką chlubę w tym, że nie są już „dziećmi"; gardzą chrześcijaninem już choćby dlatego, że z natury rzeczy zachowa on zawsze coś dziecięcego. I jakżeby inaczej? Jednym z imion własnych Boga, które nam sam objawił, jest „Ojciec".

*

Można przyjąć, że Niemcy (hitlerowskie, dop. red.) świadomie i nieświadomie będą czyniły wszystko, aby mniej więcej wszystko, co dziś się mówi, pisze i czyni, jak najszybciej zapomnieć. Wspomnienia winy ciążą, mają swój ciężar. Gdzie to możliwe, człowiek odrzuca je. Lecz czy się to powiedzie, o tym powie jeszcze i Bóg swoje słowo.

*

4 grudnia

Nie powinno dla chrześcijanina ulegać wątpliwości, że znaczenie wydarzeń zewnętrznych może być różne, i to zatrważająco różne. Pod „znaczeniem" rozumiem tu dalszy czy bliższy związek „dziejów" świata z „dziejami" Królestwa Bożego. Chrześcijanin nie może być zdania Rankego, że każda epoka stoi równie blisko Boga. Czy można zaprzeczyć temu, że Rzym za Augusta, Judea za Heroda i Piłata stały w bardziej stanowczym związku z historią zbawienia aniżeli Europa za Napoleona, aby nie dawać przykładów małych? Ten dalszy czy bliższy związek nie zależy od ludzkiej świadomości, choć nie da się zaprzeczyć, że nie istnieje on całkowicie poza świadomością ludzi danego czasu. Że dzisiejsze wydarzenia światowe mają taki bliższy związek z historią zbawienia, na to wielu się ze mną zgodzi. Ale z tego wynika, że i zewnętrzne życie każdej jednostki podpada pod kategorię czegoś rozstrzygającego.

*

Ad se ipsum.

Z mego dzieciństwa: kiedy trwałem w pięknej poezji, w której same sobie wystarczając błyszczały światło i woda, zakrzepły wszelkie źródła, wieczna melodia zamilkła. Nie pamiętam już, kto czy co mnie obudziło.

*

Bóg wypowiedział wiele słów przez swoich proroków i przez swoje „Słowo". I nie przystoi żadnemu człowiekowi ich zmieniać. Ale od niego samego to zależy, czy użyje ich we właściwych czy — niestety — w niewłaściwych okolicznościach. Oto było wielkie ryzyko. Nie sposób bowiem wypowiedzieć, ile szkody wyrządzono przez to, że Bo-że słowo padło w godzinie niewłaściwej, lecz we właściwej nie padło.

*

Natłok coraz nowych myśli wokół głównego tematu tylko wtedy jest kłopotliwy, kiedy tamują one drogę utrudniając przejście, nie zaś, kiedy poszerzają horyzont, nawet w nieskończoność.

*

Psalm 73

Modlitwa

Ukazałeś nam, o Boże, z nadmiarem, popychającym aż do rozpaczy, istotę zła, jego pychę i triumf. O, Panie, gdy wielu popada w niewiarę, pozwól nam w duchu pobożności ubłagać Cię, abyś zechciał wypełniać i objawić również resztę Psalmu, ku Twej czci i pociesze Twoich sług.

*

Kogo nie przeszywa trwoga przed tym człowiekiem (Hitlerem), w tym nie ma nic ani z ducha Boga, ani z ducha szatana.

*

Właściwe rozróżnienie istoty winy i braku winy jest wielkim i nieodzownym zadaniem przyszłości. Uznanie za winę naturalnych konieczności może przynieść tyleż szkody, co odwrotnie uznanie winy za konieczność, które prowadzić musi do zaprzeczenia winy w ogóle. Trzeba przyznać, że co do tego żyjemy w wielkiej niewiedzy i niepewności.

*

„Wadzenie się" z Bogiem może być początkiem wiary lub jej końcem. W każdym razie zakłada ono już z góry skłonność do wiary.

*

Nietzsche, Ryszard Wagner i Houston Stuart Chamberlain są w rzeczywistości głównymi sprawcami stanu dzisiejszej umysłowości niemieckiej. Oni to byli natchnieniem sprawców i tych, którzy milczeli. Wagner jako muzyk najmniej jest jeszcze winny, stworzył tylko nieczysty akompaniament muzyczny.

*

Trzecia niedziela adwentu

Gaudete... Cieszcie się, zaprawdę mówię wam: cieszcie się! Słowa, które nie przestają zadziwiać. Coraz to nowe, lecz od dawna zawsze to samo wezwanie świętych Bożych do radości jest dowodem prawdy ich świętości, również dla tego, kto go jeszcze nie posiada czy nie posiadł. I tak zadowalam się, o Boże, daleką i bladą radością, że Twoi prawdziwi święci ją znają, tak jak ją Apostoł opisał: Gaudete...

*

*Ten człowiek *) nie gra małej gry. Nie łudźmy się! Gra jest tak wielka, że nie zdoła jej wyrazić słowo mniejsze aniżeli słowo Psalmisty: Pan śmieje się z nich. Spadło ono na tego człowieka lub nań spadnie rozlegając się w śmiechu obłąkania. Śmiech człowieka nie dorasta do tego. „Pan śmieje się z nich". A przy tym wszystkim Niemcy zaiste nie są krajem, w którym śmieszność zabija. Przeciwnie, śmieszność utrwala tu tylko w uporze.*

*) Mowa i Hitlerze.

tłum. *Ed. Misiołek*

Zygmunt LICHNIAK

O SPRAWACH LUDZ

O tym, że Igor Newerly napisał wspaniałą książkę *), głośno już w całej Polsce. Znali ją niektórzy wcześniej z audycji Polskiego Radia, zapoznawało się z nią wielu w odcinkach drukowanych przez „Twórczość", a gdy odznaczona nagrodą państwową pierwszego stopnia ukazała się na półkach księgarskich — wyciągnęły się po nią tysiące rąk. „Pamiątkę z Celulozy" rozchwytano w ciągu kilkunastu niemal dni. Już od dawna księgarze rozkładają bezradnie ręce, gdy odprawiać muszą z kwitkiem tych, którzy nie zdążyli nabyć jednego z 20.000 egzemplarzy pierwszego wydania. Książka krąży między czytelnikami. Widzi się już wiele zaczytywanych albo i zaczytanych doszczętnie egzemplarzy. Następne — o zwielokrotnionym chyba nakładzie — wydania na pewno będą przyjęte z równym zainteresowaniem i aplauzem. Przedwojennym językiem handlarskim mówiło by się o tej książce jako o „szlagierze", o „przeboju powieściowym". W żargonie kapitalistycznego światka księgarskiego — gdyby mógł on tak jak nie może zaakceptować ideę centralną książki — byłaby ona fenomenalnym „bestsellerem". W języku prostej relacji jest książką, która po wojnie zdobyła w najkrótszym chyba czasie największą chyba popularność wśród odbiorców.

Newerly dzięki „Pamiątce z Celulozy" wysunął się na jedno z pierwszych miejsc w czołówce pisarzy polskich. Dla tych, którzy mniej interesowali się literaturą było to niespodzianką, jakimś radosnym „fuksem". Dla tych, którzy czytając „Chłopca z salskich stepów" czy „Archipelag ludzi odzyskanych" wyczuwali tęgi pazur pisarski, było to zdumiewającym przejawem intensywnego rozwoju pisarza, wyrazem wielkiej pracy, zwycięskiego, uwieńczonego ogromnym powodzeniem wysiłku. Dla jednych i dla drugich było to przeżyciem ważkim, radosnym, jak westchnienie ulgi: Nareszcie!

Na czym polega wielka siła „Pamiątki z Celulozy"? Co stanowi główny walor zbliżający ją tysiącom odbiorców? Jak tłumaczy się jej „bestsellerowa" popularność? Dzięki czemu Newerly dał nam dzieło świeże, bogate, piękne, odmienne od poprzednich, instruktywne dla następnych? Gdzie kryje się tajemnica powodzenia pisarza? W czym leży zwycięski dar tworzenia dzieła o tak zdecydowanej mocy zjednywania dla swojej wewnętrznej prawdy?

Niech odpowiedź na to pytanie będzie oceną książki, wydobyciem jej głównych cech, jej pochwałą i krytyką jednocześnie.

Dla uporządkowania myśli stwierdźmy na początku:

Po pierwsze: „Pamiątka z Celulozy" jest dziełem prawdziwym w swej obiektywnej wymowie historycznej.

Po drugie: „Pamiątka z Celulozy" jest dziełem na wskroś humanistycznym w swej tendencji ideowej.

Po trzecie: „Pamiątka z Celulozy" jest dziełem o przekonywającej, logicznej i rzetelnej pasji artystycznego organizowania i wyrażania wizji świata, człowieka, historii.

Było by jednak niezamierzonym biurokratyzmem krytyczno-literackim, było by po prostu publicystycznym nietaktem mówić o „Pamiątce z Celulozy" językiem urzędowych niemal formularzy, dlatego — porzucając sztywne rubryki buchalteryjnych wyliczeń — pisać trzeba w sposób intencjami przynajmniej podobny do tego, w jaki pisze autor „Pamiątki z Celulozy", bezpośrednio, prosto, po ludzku.

Po ludzku napisana książka, książka bardzo ludzka, książka pisana przez człowieka kochającego ludzi, książka o żywych ludziach dla ludzi żywych — to określenia, które narzucają się siłą konstatacji i dobrego wzruszenia po zakończeniu lektury.

W określeniach tych — ogólnych jak wszystkie wrażenia nie poddane jeszcze analizie szczegółowej — nie chodzi o lekceważenie wysiłku innych pisarzy, nie chodzi o sugestię, że przed Newerlym w powojennej literaturze polskiej pisano nie „po ludzku", (chociaż jest w tym trochę żalu do autorów tekturowych produk-



Igor Newerly

cyjniaków), chodzi przede wszystkim o określenie wielkiego stopnia prawdziwości książki, wielkiego ładunku ciepła, które ją przenika i wytwarza specjalny klimat.

Jest w książce Newerlego wielka zgodność faktów z życiem i charakterem bohaterów tworzących te fakty, jest wielka prawdziwość rozwoju wypadków w ich powiązaniu z całością wydarzeń, które się składają na kształt określonej historycznie rzeczywistości, nie ma łgarstwa, dętej frazeologii naciągaczy, łatwiutkiej „historyczności" symplifikatorów.

Jest w książce Newerlego miłość do człowieka walczącego o swoją godność i szczęście, jest dobry uśmiech, ciepły wzrok, spokojna przyjaźń dla wszystkiego, co ludzkie, nie ma cukierkowatego oświadczania się humanistycznym ogólnikom, nie ma umizganiny dla frazesów na temat sojuszu z mgławicową ludzkością, nie ma minoderii inteligenckiego przyjaciela ludu, który rozrzewniony swoją szlachetnością, dowodzi z wielkim wzruszeniem, że robotnik to... też człowiek.

Jest w książce Newerlego urok przemyślanej, logicznej i bezpośredniej narracji, wyrazistość kompozycyjnych powiązań, trafność rozwiązań sytuacyjnych, rozumna oszczędność efektów artystycznych, nie ma nachalnictwa ładnosłowizmu, napuszoności frazy zdaniowej, uganiania się za sztuczną symbolicznością, nie ma polowań na językowy czy sytuacyjny kalambur, nie ma kolońskiej wody, którą się perfumuje fakty, by pasowały do literatury, nie ma zabawy w pisarstwo czy maskarady literackiej.

Zanim jednak przejdziemy do dalszych rozważań musimy zrobić tu jedno zastrzeżenie: książka Newerlego ujmuje człowieka w perspektywie wyłącznie doczesnej. Materialistyczna koncepcja świata i człowieka jest w niej stosowana świadomie i konsekwentnie. Nie spotykamy się w „Pamiątce z Celulozy" z jakimkolwiek załamaniem tej generalnej linii ideowej utworu. Wyrażając pełne uznanie dla artystycznych, społecznych i moralnych walorów powieści nie możemy zapominać o tym, że reprezentuje ona postawę światopoglądową radykalnie odmienną od katolickiej. Nie zmienia to w niczym faktu jej doniosłości jako niezwykłego, wyrastającego ponad przeciętność zjawiska literackiego.

To, że „Pamiątka z Celulozy" jest dziełem prawdziwym historycznie, to że ma obiektywną wymowę faktów polega na wykorzystywaniu pisarskiej mądrości mówienia faktami.

Igor Newerly opanował tą mądrość znakomicie. Nawet komentarz wstępny jest przecież tylko odnotowaniem konkretnego faktu, konkretnego zjawiska społecznego. Szczęsny zgłasza swój pamiętnik, zrzeka się przeróbki, powierza ją wraz z uzupełnieniami ludziom pióra. Ta zasada obowiązuje całą dalszą relację. Żeby jej sprostać Newerly zmobilizował wszystkie swoje umiejętności, zgromadził olbrzymią wiedzę o szczegółach. Szczęsny pracuje jako stolarz. Newerly zna się na stolarstwie. Szczęsny wynajmuje się do spławu drzewa — Newerly poznaje arkana tego zawodu. Szczęsny pracuje w papierni — Newerly poznaje proces produkcji celulozy. Nie ma w tym nic z nadmiernego technicyzmu, nic z taniego popisywania się erudycją fachową. Dlatego tak mądrze to siedzi w całości dzieła.

Nie jest to tylko mądrość wiedzy o przedmiocie produkcji. Jest także w „Pamiątce" zgromadzona wielka wiedza o życiu w jego wielorakich przejawach. Klimat przymusowego uchodźctwa, praca partyjna, odległa od niej sfera walki drobnomieszczaństwa o pieniądz, aura służby wojskowej — oto kilka kompleksów zjawisk, w których pisarz obraca się jak w terenie znanym nie od strony ogólnych prawd czy sloganów, ale od strony faktów konkretnych, detalów, których ogólny układ i proporcje pozwalają wyprowadzić wnioski ogólne.

W wyprowadzaniu tych wniosków pisarz śledzi przede wszystkim rozwój losu ludzkiego. Droga Szczęsnego rozwija się przed nami wyraźnie i konsekwentnie. Jest po prostu funkcją opisywanych wydarzeń, funkcją krystalizującej się świadomości bohatera. Na nim skupia Newerly główną uwagę, ale nie zapomina o innych. Wraz z rozwojem Szczęsnego śledzimy i drogi życia ludzi z nim związanych. Rysuje się przed nami proces rozwarstwiania społecznego jednej rodziny, poddanej wpływom różnych środowisk, widzimy ewolucję Korbala, jego łajdacką wspinaczkę po ludzkich karkach od sezonowego lumpenproletariackiego wyrobnika do fiszy drobnomieszczańskiego kupiectwa i wreszcie do posła na sejm. Nie ma w powieści Newerlego punktów martwych, wszystko jest dynamiczne, w ruchu, w rozwoju, w dążeniu ku określonym celom.

I wszystko osadzone w określonym systemie uwarunkowań. Dzięki temu powiązaniu los Szczęsnego jest losem klasy robotniczej, los Korbala ilustracją zdrady klasowej i wyrastania sanacyjnej szumowiny drobnomieszczańskiej. To co jednostkowe jest jednocześnie społeczne, ogólne. Zespolenie, zazębienie się wzajemne tych obydwu planów nie jest w „Pamiątce z Celulozy" (tak jak było w wielu innych powieściach o podobnej tendencji) mechanicznym konstruowaniem pisarskiej tezy ideologicznej. Jest po prostu obrazem właściwie widzianej w kategoriach społecznych rzeczywistości. Teza ideologiczna jest tylko konsekwencją, koniecznym wnioskiem. Zwycięstwo pisarza polega na umiejętnym zgromadzeniu wystarczających i jednoznacznych przesłanek wmontowanych do dzieła jako fakty jednostkowe i masowe.

Widać, czuć, że to wszystko trzyma się kupy, jest zwartą logiczną całością, a nie rozchwierutaną beczką, w którą jak w beczkę bez dna ładuje się morały, sentencje i hasła, cały źle wypitraszony bigos ideologiczny.

Widzimy u Newerlego ludzi w bogactwie ich indywidualnego zróżnicowania pogłębiającego sens społecznej współpracy. Widzimy ich w stawaniu się, w dzianiu się.

Szacunek dla „wyposażenia psychicznego" poszczególnych postaci nie wyklucza u Newerlego pasji pośredniego ukazywania uwarunkowań środowiskowych, ale pomaga w uwielostronnieniu spojrzenia na czło-

*) Igor Newerly: „Pamiątka z Celulozy", Warszawa 1952, „Czytelnik", str. 319.

Janina KOLENDO

Za wolność

„Nic nie ma za darmo. O wszystko trzeba walczyć. O ziemię, o wodę, o niebo zagrabione przez baronów i fabrykantów..."

O TEJ walce, o ludziach nędznej wsi kalabryjskiej, którzy chcą żyć „jak ludzie" i o prawo do takiego życia walczą — napisał Julian Stryjkowski bolesną, przejmującą książkę.*)

Skończyłam ją czytać kilka dni temu, już się „odleżała", na skutek tego można się było zabrać do pisania o niej.

Mimo uproszczenia pewnych zagadnień światopoglądowych — do czego wrócę później — zatrzymała mnie po stronie swoich bohaterów. Myślę, że każdego czytelnika zatrzyma w ten sposób, każdego który z książką przed oczyma chce myśleć.

Bohaterów, o co walczących? Czy o pałace fabrykantów dla siebie? O współudział w życiu łatwym? Czy o prawo do poczucia, że p o s i a d a j ą nareszcie ziemię? O przywilej luksusowego przeżywania „pełni doświadczeń"? A może o prawo do sceptycyzmu?

O co walczących, kiedy potajemnie, nocą po raz pierwszy sieją wspólne ziarno w dolinie Fragala, wykorzystując rozległe nieużytki, których baronowi zasiewać, przy imporcie amerykańskiego zboża, się nie opłaca?

O co? O to, żeby mieć tyle pożywienia, aby nie słaniać się jak Salvatore z głodu, żeby mieć dach nad głową, żeby odnoszenie na cmentarz malców mrących z wycieńczenia nie odbywało się z beznadziejną regularnością, żeby mieć prawo do pracy, żeby mieć prawo do wody do picia, wydzielanej w tej „siarczanej" okolicy — o te wszystkie „drobne", jakże „przyziemne" i prymitywne sprawy w oczach niektórych, co nie doznali osobiście tego rodzaju kłopotów.

Po przeczytaniu „Biegu do Fragala" kogóż może nie zastanowić zagadnienie prawa własności w tamtym kraju.

I to nie *bez względu* na światopogląd, ale *ze względu* na światopogląd. Światopogląd marksistowski jednoznacznie wyprowadza założenia ideologiczne i co za tym idzie, polityczne w stosunku do całości problematyki. Przedstawiciele światopoglądu katolickiego w różny sposób na sprawę własności środków produkcji patrzyli i patrzą.

Dolina Fragala każe o sobie pamiętać, zastanowić musi, odrywa od konwencjonalnych sformułowań i nie



Julian Stryjkowski

zupełnych pewników. Nie jest geograficzną nazwą, ani bardziej czy mniej pięknym pejzażem, jest polem walki „za waszą i naszą wolność". Książka ukazuje w sposób wyraźny jak daleko sprawa pierwszego zbioru i ponownego siewu jest związana z organizowaniem związków zawodowych w niedalekiej osadzie fabrycznej; związana jest nie tylko z bardziej zaawansowaną pracą ośrodków robotniczych i wiejskich w północnych Włoszech, ale stanowi fragment szerokiej pozycyjnej walki na całym świecie. Czytelnik zdaje sobie sprawę, że los ludzi z Rocca di Zolfo, nie jest zamknięty w kalabryjskim zaścianku, lecz związany jest najściślej z losami idei internacjonalizmu.

NA szczególną uwagę zasługuje mocno i wnikliwie przez Stryjkowskiego zanalizowany proces dojrzewania wewnętrznego Salvatore. Zawiera się w nim dokładnie ukazane prawdopodobieństwo psychologiczne rozwoju jednostkowego, a czytelnik, który nie wzrastał od najmłodszych lat w przekonaniu o słuszności postawy rewolucyjnej odnajduje w ewolucji bohatera poszczególne stadia własnych wahań, klasyczne argumenty dla przezwyciężenia wewnętrznego oporu i odbicie procesu odchodzenia od myślenia indywidualistycznego (nie indywidualnego przecież). Dochodzi wreszcie do zrozumienia szansy przeżywania wolności w zespole.

Jak już powiedziałam, książka Stryjkowskiego zawiera uproszczenia zagadnień światopoglądowych. Problem ten jest specjalnie dla mnie interesujący i dlatego szerzej nim zająć się pragnę.

Ludzie postępu społecznego to ludzie niewierzący. Po drugiej stronie, organizowanej przez księdza don Luigi, znajdują się jednostki które zdradziły dla wyrachowania swoje lewicowe przekonania, jednostki dla których właściwie nie istnieje problem światopoglądowy, problem który mają w książce reprezentować.

Trudno jest zgodzić się na takie ustawienie zagadnienia, na zasadzie analizy rzeczywistości.

Przyjrzawszy się don Luigiemu, odnajdziemy w nim zamknięcie świadomości przez własne uwarunkowanie

*) Julian Stryjkowski: „Bieg do Fragala", W-wa, 1951 „Czytelnik" Nr. 356.

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (27)

KICH PO LUDZKU

wieka, pomaga w pogłębieniu stanowiska wobec jego zwycięstw i załamań, wobec jego podłości i piękna, radości i tragedii.

I co najważniejsze: wynika to wszystko u pisarza nie tylko z pasji poznawczej, nie tylko z intelektualnego przekonania o prawidłowości takiej metody, ale z serca, z miłości dla człowieka, z miłości dla jego walki, dla jego tęsknot ludzkich, prostych, zwyczajnych. Gdy patrzymy na starania ojca Szczęsnego, który marzy o własnym domku, gdy podglądamy zabawę Szczęsnego z Brońcia, gdy podsłuchujemy rozmowę Szczęsnego z Olejniczakiem — zawsze jest z nami pisarz uśmiechnięty przyjaźnie, pisarz dla którego słowo „człowiek" jest żywe, konkretne, pełne treści, brzmi dumnie.

Najłatwiej nazwać tę postawę pisarską postawą głębokiego humanizmu. Boże mój, jak się powycierało to słowo po kątach różnych publicystycznych dyrdymałek! Uczyniono z niego słowo — wytrych, słowo pakułę, słowo szton. Gdy biedny krytyk albo recenzencik nie wie, co powiedzieć o książce, która jest dobra, wali w wielki bęben humanizmu, bije w dzwon humanistycznej troski o człowieka, odmienia humanizm przez wszystkie przypadki. Odebrało to temu słowu jego ważki sens, jego precyzyjną treść ideową i filozoficzną, zatarło jego społeczną i polityczną wymowę. Słowo to przy lekturze „Pamiątki z Celulozy" odzyskuje jednak swoją zdewaluowaną wartość, pisarz przywraca mu dawną wielką godność, ożywia je swoim dziełem i wyrażonym w nim umiłowaniem człowieka.

Mówiąc o rekonstrukcji 53-stronicowego brulionu pamiętnika Bidy, który rozrósł się do tomu przekraczającego pół tysiąca stron, pisarz powiada: „...człowiek nie kamień. Wprawdzie mówimy: — Oto nasza cegła, odbudujemy — ale ta cegła miewa przecież chwile szczęścia i rozterki, cierpi, kocha i walczy. Czy można tak sobie brać i kłaść bez czucia, byle gładko, byle równo? Nie wzruszyć się, nie zacząć przeżywać cudzego? A przeżywając jak swoje, czy można opowiadać za tamtym, na jego sposób — nic po swojemu?"

Właśnie! Chodzi o to by wzruszyć się, zacząć przeżywać cudze, mówić o tym po swojemu.

Newerly wzrusza się, przeżywa cudze, pisze po swojemu. W tym chyba tajemnica humanistycznego widzenia spraw ludzkich w jego dziele.

Ale byłaby ona osobistą kwestią pana o nazwisku Newerly, gdyby nie to, że i my — posłuszni nakazowi utworu — musimy wzruszać się, przeżywać cudze, odbierać je po swojemu. Wzruszenia pana o nazwisku Newerly w gruncie rzeczy nie musiałyby nas specjalnie interesować, interesowałyby nas w tym samym stopniu co wzruszenia każdego przechodnia spotkanego na ulicy, ale wzruszenia artysty Igora Newerlego są już zjawiskiem społecznym, mają funkcję społeczną, gdyż — obiektywizując się w dojrzałym dziele — mają cechę powszechnej przekazywalności, wychowawczej prawdy przeżyć i wzruszeń, odkrywczej prawidłowości, przemyśleń.

NA czym polega przekonywająca siła artyzmu „Pamiątki z Celulozy"?

Oczywiście, że prawda wymowy artystycznej książki Newerlego łączy się bezpośrednio z wszystkimi cechami jego pisarskiego postępowania, o których była już mowa. Wiadomo, że mamy do czynienia z prawem naczyń połączonych, z mocną siatką wzajemnych powiązań, z zespołem dwukierunkowych uwarunkowań. Ale warto zastanowić się chwilę nad choćby sztucznie „formalistycznie" wyodrębnioną sferą dokonań — powiedzmy — „warsztatowych", zasobem chwytów niejako technicznych, sumą osiągnięć językowych, kompozycyjnych, fabularnych.

Język powieści służy jej celowi, służy jej wymowie bez zarzutu. Autor wybrał zasadę językową dla utworu o koncepcji narratorskiej jedyną: zasadę „mowy wprost", zasadę bezpośredniości i bezpretensjonalności. Komórka zdaniowa nie jest pisana lecz mówiona. Rytm zdań, ich konfiguracja, spadki frazy, punktowanie akcentów — wszystko to jest jednolite, konsekwentne w swojej „mówioności". Pisarz nie boi się zaczynać od spójników, potrafi postawić na początku zdania „że", „bo" lub nawet „więc". Uzyskuje przez to wrażenie zwykłości, żywości, odcina się od papierowych uwarunkowań literackiej konwencji słowa pisanego.

Temu samemu wrażeniu pomocna jest szczęśliwie pomyślana kompozycja utworu. Luz pamiętnikarskich skojarzeń, selekcja dominant sytuacyjnych, wreszcie technika skrótowych relacji umożliwiają uniknięcie wszelkich dłużyzn, a jednocześnie chronią przed zarzutem nadmiernej fragmentaryczności. Komentarz może dzięki temu wkraczać w tok relacji epickiej nie na zasadzie mechanicznych wyjaśnień, ale na zasadzie niezbędnego uzupełnienia. Umie zresztą Newerly ograniczyć go do niezbędnego minimum.

Umie też — daleki od wszelkiego rozgadania — zatrzymać się nad detalem, nad szczegółem, nad drobnostką. Wspomniana już poprzednio wiedza o konkretach czyni te pozorne marginalia barwnymi, wzbogacającymi całość, epizodami.

Epizody te są tylko pozornie marginalne. W kompozycji powieściowej „Pamiątki z Celulozy" nie ma rzeczy zbędnych. Selekcja szczegółów czy ich dobór oparty jest na zasadzie celowości, niezbędności wszystkich elementów dzieła. Wystarczy przypomnieć przykładowo Spinozę, który zdawał się być tylko charakterologiczną pikantoryjką; zdawało się, że pisarz o nim zapomniał, a jednak nie zapomniał. Pojawia się on w końcowej partii książki, by ukazać nam konturową historię zbłąkanego inteligenta. Wystarczy także przypomnieć historię Komisarza, by stwierdzić, że nawet detale pozornie tylko zdobnicze, ornamentacyjne służą w istocie usymbolicznieniu sytuacji a nawet jej realnym, chciało by się powiedzieć, wręcz fizycznym powiązaniom. To przekonywa do prawdziwości utworu, to nakazuje wierzyć utworowi, zaufać jego wymowie artystycznej, a zdobycie tego zaufania u odbiorcy jest poważnym dokonaniem artysty.

Newerly jako artysta zdobył zaufanie odbiorców.

Jeszcze raz przypomnieć należy, że jest to konsekwencją wszystkich jego dokonań, a nie tylko „warsztatowych zdolności". No, i oczywiście odciąć się należy od sugestii, że w tych uwagach zawarta została cała prawda artystyczna utworu. Jest ona na pewno najbardziej złożona. To tylko kilka węzłowych punktów jej złożoności starało się uchwycić zawsze zbyt chropawe słowo wywodu krytycznego.

CHOĆBY miało się ono wydać jeszcze bardziej chropawe, trzeba dodać jeszcze jedną uwagę. Wyrasta ona z klimatu, jaki wytwarza się dzięki dziełu między odbiorcą a dziełem: z klimatu wielkiego zaufana i wielkiej wiary w możliwości pisarskie autora.

Są w „Pamiątce z Celulozy" pociągnięcia lub przeoczenia pisarskie wyrządzające przykrość odbiorcy, który już zżył się z książką piękną i dobrą i chce się z nią rozstawać bez niedomówień i zatajonych żalów.

Człowiek pełen poczucia własnych błędów i niedoskonałości ma uzasadnione obiektywną wiedzą o naturze ludzkiej pretensje do człowieka bez winy, bez skaz, bez niedociągnięć. Choćby ów kryształowy człowiek był prawdziwy w swej kryształowości, chcemy na krysztale — skazy. Jest ona negatywną gwarancją prawdziwości. Brzmi to paradoksalnie, ale chcemy potwierdzenia prawdziwej szlachetności i siły ludzkiej w prawdziwych błędach ludzkich i ludzkich niedoskonałościach. Są u Newerlego ludzie bez skazy, mamy o to żal do nich. Żal o ich doskonałość. Nie wolno takiego żalu lekceważyć, bo stoi za nim obiektywna wiedza o niedoskonałości natury ludzkiej, a jeśli ktoś nie chce uznać takiej wiedzy wystarczy, by odwołał się do powszechnego doświadczenia.

Przeciwko temu doświadczeniu szlachetnie i pięknie grzeszą niektóre postacie z powieści Newerlego. Niech przykładem będzie ukochana przez Szczęsnego kobieta Madzia Borzęcka. Przy całej dla niej sympatii nie możemy jej wybaczyć nadnaturalnej, bo absolutnej bezbłędności jej laickiego postępowania. Uważamy, że popełniła wielki błąd nie popełniając nawet małych błędów.

Mamy tu do czynienia z naruszeniem koniecznej u pisarza równowagi między postulatywnością i zwykłą prawdziwością jego postaci. Postulatywność zaciążyła ujemnie nad prawdziwością. Ludzie bezbłędni, którzy wyrośli z tęsknoty pisarza ku ideałowi wspaniałego człowieka są — błędem artystycznym.

I odwrotność tej sytuacji jest również błędem, również niepokoi odbiorcę. Świadomi wielu podłości ludzkich nawet w najpodlejszych mamy prawo szukania człowieczeństwa. Gdy ukazuje się odbiorcy postać złą bezwzględnie we wszystkich swoich poczynaniach, skarlałą i nikczemną, czuje on, że jest to postać jakoś przez pisarza skrzywdzona. Niech przykładem będzie paskudny, plazowaty Korbal. Jest podły w każdym swoim odruchu, w każdej swojej reakcji, jest niejako wydestylowanym ekstraktem znikczemnienia. Brak w nim przynajmniej wytłumaczenia jego ohydnego „korbalizmu", brak wskazania obiektywnych przyczyn, które go tak „skorbaliły" doszczętnie. Wydaje się, że pisarz zbyt przyśpieszył w sobie, a tym samym i w dziele, a przez dzieło i w nas stawanie się tej postaci.

Przyśpieszenie takie zaciążyło i nad ogólną fakturą całości. Po zakończeniu książki obok wdzięczności za dzieło dojrzałe i mądre odczuwamy niepokojące przyśpieszenie rytmu narracji w drugiej części. W końcowych partiach książki spokojny oddech epickiego umiaru staje się jakby zadyszany. Skróty — coraz częstsze. Relacja coraz bardziej kronikarska, namiętna, zachłystująca się miejscami nadmiarem faktów, które skaczą przez siebie w coraz żywszej galopadzie. Pisarz staje się jak gdyby niecierpliwy, dąży do finału z wyraźną gorączkowością.

Jednak dobrym pisarzom czytelnik towarzyszy nawet w ich błędach. Dążymy na Newerlym — wierni jego wzruszeniom, bliscy jego bohaterom — gdyż daje nam dzieło dojrzałe i piękne, dzieło bardzo ludzkie.

Wyznajmy w zakończeniu: książkę odkłada się z żalem. Żal ten jest smutny tam, gdzie jest stwierdzeniem, że szkoda, iż pisarz przerwał swoją relację w latach przedwojennej walki Szczęsnego. Tyle by nam umiał powiedzieć o sprawach dzisiejszych w sposób nowy, inny, chyba lepszy niż do tej pory mówiono. Ale żal ten jest radosny tam, gdzie jest pośrednim stwierdzeniem, że obcowaliśmy z książką mądrą, dobrą i piękną, z którą nie chce się człowiek rozstawać tak jak nie chce się żegnać z mądrym, dobrym, pięknym człowiekiem.

Do mądrych, dobrych, pięknych ludzi i książek zawsze się wraca.

„Pamiątka z Celulozy" jest książką, do której wracać się powinno.

Zygmunt Lichniak

naszą i waszą

społeczne; nie przeżywa on żadnych konfliktów, Don Luigi całe swe działanie wyczerpuje w zwalczaniu elementów postępowych. Parę jego frazesów zawiadamia czytelnika o tym, że jest on księdzem, a nie człowiekiem świeckim. Przeciwstawiony mu ekskomunikowany ksiądz Domenico, który staje po stronie ludu, mówi takie bzdury z punktu widzenia moralności katolickiej, że również trudno go traktować nie tylko jako eksksiędza, ale jako niegdyś wierzącego. Dość przypomnieć jego oświadczenie, że posiadanie przez księdza czworga dzieci nie jest żadnym grzechem, a jego największym grzechem jest fakt, że się urodził o parę wieków za późno. Narzucające się zestawienie upadłych księży z „Potęgi i chwały" Greene'a czy „Pod słońcem szatana" Bernanosa podkreśla typowość postaci don Domenica.

W gruncie rzeczy obu księży tak zarysowanych trzeba by właściwie włączyć do kategorii ludzi niewierzących, dla których Bóg jest conajwyżej jakimś symbolem.

Sytuacja jest w istocie znacznie gorsza, znacznie trudniejsza niż ją przedstawia Stryjkowski, wyjaśniając ją bez reszty problematyką gospodarczą. Skomplikowanie sytuacji polega na tym, że zagadnienie światopoglądu katolickiego w dużej części społeczeństwa wiąże się w sposób immanentny z obroną ustroju kapitalistycznego, z obroną klas posiadających, z obroną, w rezultacie, wyzysku. Złożoność i dramatyczność tych powiązań u ludzi wierzących jest straszliwa, nie mniej problem istnieje. Tendencję „nawracania" do Boga za pomocą bomby atomowej niestety wyrażają ludzie będący katolikami. Zdeterminowani fałszywymi kategoriami ekonomicznymi tylko w tych kategoriach szukają dróg realizacji swojej „misji".



Renato Guttuso — Stara Immacolata

Pogłębienie książki przez pokazanie tych rzeczywiście istniejących konfliktów współczesnych wzmocniło by jej realizm psychologiczny. Przestałaby być tylko szkicem, stałaby się obrazem.

Analiza całości nasuwa jeszcze jedno zastrzeżenie. Otóż: postępowa strona barykady reprezentowana jest przez ludzi świadomych tego o co walczą, ludzi, których tylko zaślepieni nazwaliby narzędziami. Nie, oni są prawdziwym podmiotem walki. Natomiast druga strona barykady — to wyłącznie bierne narzędzie nieukazanego barona czy nieukazanych fabrykantów. Trudno sobie zestawić karabiniera Prezzo jako podmiot walki z członkami komunistycznej partii lub którymkolwiek z bezpartyjnych, biorących udział w akcji. Ukazanie świadomych inspiratorów i prowodyrów sił reakcyjnych ustaliło by precyzyjniej miarę słuszności i heroizmu strony walczącej o postęp.

Rozbudowanie książki w tym kierunku skomplikowało by jej strukturę przez zwiększenie i tak już istniejącej wielopostaciowości i wielowątkowości. Autor sam jednak niejako usprawiedliwia tego rodzaju życzenia wyraźnie zaznaczonymi w dziele ambicjami epickiego ujęcia problemu.

Dla czytelnika polskiego może być „Bieg do Fragala" szczególnie interesujący. Uczy wiele o Włoszech.

Mimo, że nie zjawia się cień Dantego, ani malarstwa Renesansu, mimo, że nie słyszy się „Wróć do Sorrento", mimo, że nie ma się pewności czy niebo jest lazurowe, nie słyszy się śpiewu gondolierów, mimo, że są to Włochy bez zabytków starożytności, bez Rzymu i kwitnących gajów Taorminy, to są też Włochy, Włochy w trudzie wielkiego przełomu przekraczającego granice starej epoki.

Janina Kolendo

Mahmud TAJMUR

ABU ARAB



W ubogim namiocie, który stoi obecnie na ziemiach majątku Imad Beka, żyje szeikh Ibrahim ze swoją żoną i kilkoma dziećmi, z których żadne nie ma więcej niż 10 lat. Jak większość beduinów zarabiają oni na utrzymanie hodowlą owiec i kóz. Podczas swoich niespokojnych wędrówek przemierzają znaczne przestrzenie w poszukiwaniu pastwisk. Dzierżawią je od właścicieli za drobną opłatą.

Tok dnia jest ustalony. Rano ojciec opuszcza ze swoimi dziećmi namiot, wypuszcza przywiązane na noc zwierzęta i prowadzi je na pastwiska, gdzie pozostają pod opieką dzieci i wiernego psa Dhahaba[1]. On sam podąża na rynek, aby sprzedać wełnę; częściej wiruje świeżo dojone mleko na majątkach. W chwilach wolnych od pracy siedzi w pobliżu swego stada, ćmiąc fajkę i przędzie wełnę, z której robi odzież dla siebie i swej rodziny.

Czasami usłyszysz jego piosenki, monotonne i przydługie, których się chyba nauczył od głodnych zwierząt pustyni.



Ludzie nazywają tego człowieka Abu Arab i tylko pod tym nazwiskiem jest znany na traktach.

Jeśli zobaczysz go z daleka skłonny będziesz mniemać, że to wielbłąd stąpa powolnymi krokami, a nie człowiek o potężnej postaci w szerokiej białej opończy. Nieokiełznany w gniewie, równocześnie może być łagodny i szczery dla ludzi życzliwych. Swoje dzieci ubóstwia, bawi się z nimi i stara się wszelkimi sposobami odżywiać je dobrze i zadowolić ich pragnienia. Długie godziny spędza na opowiadaniu im wesołych historyjek, często obejmuje je i całuje. Także dla swego psa żywi — jeśli można tak rzecz — ojcowskie nieomal uczucie. Znalazł go przecież na drodze, zdychającego z głodu, pielęgnował go, aż urósł z niego silny pies; teraz pilnuje jego stada przed wilkami a namiot przed złodziejami. Wydaje się, że Dhahab nabrał tych samych właściwości, co jego pan; jest bardzo zły i bardzo łagodny. Można często zobaczyć tego psa o życzliwych oczach i zwisających uszach u stóp jego pana. Kiedy zwierzę merda ogonem wyraża spokój i zadowolenie.

Czasami towarzyszy dzieciom swego pana, bawi się z nimi — to atakując je na pozór, to uciekając przed nimi. Pies rozumie doskonale swoją rolę w rodzinie. Kiedy bowiem schodzą się wszyscy do jedzenia, węszy dookoła, oblizuje pysk, nastawia uszy, zwraca oczy chciwie na miskę. A potem nie odejdzie, dopóki nie otrzyma należnej mu części. Wtedy dopiero kładzie się przed wejściem namiotu, wyciąga się i zaczyna drzemać z łbem na przednich łapach.

2.

NIEDALEKO namiotu Abu Araba, w zaniedbanym i zdziczałym ogrodzie, stoi stary dom Imada Beka przezwany przez chłopów „zamkiem". Sąsiaduje on z chłopskimi lepiankami, klepiskiem i urządzeniami irygacyjnymi. Pola majątku przecina kanał, wzdłuż którego piętrzą się nasypy mułu, pochodzącego z rzeki, czyszczonej w ostatnim roku. Obecnie panuje w „zamku" Imad Beka dotychczas niewidziane zamieszanie; rodzina przyjechała z Kairu, aby spędzić kilka tygodni na wsi. Usłyszysz więc głosy służby, czasami także samego pana lub pani. W powietrzu unosi się zapach chleba i wytrawnych potraw przyrządzonych w kuchni. Na podwórzu „zamku", pod dachem altanki lub pod zwisającymi gałęziami morwy harcuje Hamid, dziesięcioletni syn Imada Beka, na swoim potulnym osiołku. Po wszystkim można było poznać, że życie wróciło do starego domu.

3.

HAMID jest rozpieszczonym jedynakiem. Czas spędza razem ze swoim służącym Mabrukiem. Razem polują procą na ptaki, łowią ryby lub bawią się na wzgórzach w pobliżu kanału, rzucając kamieniami za psami. Od pewnego czasu panowała nieprzyjaźń między Hamidem i Dhahabem, psem Abu Araba, gdyż chłopiec drażnił go nieustannie. Jeżeli Dhahab zauważył — chociażby z daleka — Hamida, zaczynał węszyć i patrzył warcząc w kierunku chłopca, gotowy do napaści; potem zaczynał szczekać, wykazując w sposób niedwuznaczny swoje uczucia. Hamid zaś kiedykolwiek spotykał psa, zasypywał go gradem kamieni.

4.

PEWNEGO dnia Hamid i Mabruk bawili się jak zwykle na wzgórzach. W pobliżu nie było nikogo. Wtedy to Dhahab przybiegł do kanału, aby napić się wody. Nagle ugodził psa ostry kamień i zranił mu łeb. Dhahab zwrócił się ku napastnikowi. Na wzgórzu stał Hamid ze służącym. Nie zważając na lecące kamienie zwierzę, posłuszne swejemu instynktowi i szczerząc zęby pomknęło naprzód. Chłopiec zrozumiał w lot niebezpieczeństwo sytuacji. Sparaliżowany strachem zaczął zduszonym głosem wołać o pomoc. Mabruk uciekł, co sił w nogach.

Pies miał przed sobą wolną drogę i wspinał się z podwojoną szybkością na szczyt wzgórza. Przestrzeń dzieląca go od chłopca malała. Na widok nacierającego, wściekłego psa w śmiertelnym strachu sięgnął po kamień i zanim zwierzę zdążyło wykonać ostateczny skok celnie rzucony kamień rozpłatał mu czaszkę. Dhahab zachwiał się, stracił równowagę, upadł, wreszcie stoczył się ze wzgórza, wlokąc za sobą cienkie pasmo krwi. Chłopiec śmiertelnie blady usunął się wyczerpany na ziemię. Daleko pod nim, u stóp wzgórza leżał martwy pies. Widok śladów krwi napełnił Hamida nowym lękiem. Na jego wołanie przybiegła służba i zaprowadziła go do domu.

Śmierć Dhahaba spowodowała smutek w namiocie Abu Araba. Właśnie w chwili, gdy dzieci opłakiwały towarzysza zabaw, wrócił ojciec. Na pytanie co się stało, nikt nie ośmielił się odpowiedzieć. Nie brakowało nikogo z rodziny. Niespokojny pobiegł do obozowiska i przeliczył zwierzęta. I tutaj nie widział zmian. Wreszcie zrozumiał, że brak było Dhahaba. Wróciwszy do namiotu zapytał się o psa. Odpowiedział sobie sam: nie żyje. Wyraz twarzy Abu Araba przyprawił dzieci o przerażenie. „Czy został zabity czy też skończył naturalną śmiercią?" wykrztusił. Wtedy przystąpiła do niego żona i wyjaśniła, że Dhahaba zabił Hamid, chłopiec z majątku. Abu Arab nie pozwolił jej dokończyć: „Przysięgam na głowę mojego ojca, że chłopiec wkrótce umrze — a to w ten sam sposób co Dhahab" wykrzyknął.

5.

PRZESZŁO kilka tygodni od tego wypadku, powoli o nim zapominano. Stałe zajęcia zaabsorbowały wszystkich. Inny pies był na miejscu Dhahaba. Tylko Abu Arab pamiętał o swojej przysiędze. Nawiedzał go obraz psa, zbroczonego krwią. Od śmierci Dhahaba nie wymówił jeszcze jego nazwy i zabronił tego rodzinie.

Jak zwykle przyjechał Imad Bek, aby spędzić kilka tygodni na wsi. Także Hamid igrał znów ze swoim osiołkiem na podwórzu „zamku", pod altanką lub pod drzewami morwy. Bawił się ze swoim służącym na wzgórzach, płoszył ptaki i rzucał kamieniami za psami.

W nocy, kiedy wszystko umilkło na dworze czaił się Abu Arab wokół mieszkań jak sylwetka drapieżnego ptaka. Kiedy wracał na pastwisko po tych nocnych wędrówkach długo ćwiczył się w rzucie kamieniami do odległego celu i nie wchodził wcześniej do namiotu, dopóki nie udało mu się kilka razy dobrze trafić. W ten sposób przeszło kilka nocy, aż pewnego dnia Abu Arab dowiedział się o zamiarze Imad Beka; przygotowano się do wyjazdu. Wtedy Abu Arab zdecydował się działać. Pod osłoną nocy wymknął się z namiotu i zwrócił się w kierunku „zamku". Twarz zasłonił opończą. Ciężko kroczył pod ciężarem kamieni. Ostrożnie jak złodziej podszedł do parkanu, rozglądał się bacznie, wreszcie wspiął się na ogrodzenie i skoczył do ogrodu zręcznie i bezszelestnie. Następnie wspiął się na drzewo o rozłożystych gałęziach. Znajdował się w pobliżu pokoju chłopca. Okno było otwarte i pozbawione krat.

Przeszła godzina, podczas której chłopiec wbiegał do pokoju, nie zatrzymując się jednak w nim dłużej. Abu Arab tracił cierpliwość. Niespokojnie ważył w dłoniach kamienie. Wreszcie Hamid wszedł do pokoju w towarzystwie matki. Ta umyła chłopcu twarz, rozebrała go i położyła do łóżka. Hamid jednak nie chciał puścić matki, ale obejmował ramionami jej szyję, całował ją, szeptał jej czułe słówka na ucho, jak to zwykle czynić dziecięce upodobanie, aby wyrazić swą miłość. Także matka nie skąpiła mu pieszczot. Bawiła się i śmiała się z nim.

Abu Arab przyglądał się im zdumiony i zmieszany, aż lekki uśmiech rozjaśnił mu oblicze. Ciężko oddychał; czuł jak wilgotnieją mu oczy. Nie opuścił swego stanowiska, dopóki nie zauważył, że dziecko usnęło. Wtedy zeskoczył na ziemię i daleko odrzucił kamienie. Wrócił tą samą drogą jaką przyszedł. W namiocie wziął na rękę swoje dziecko, które było w tym samym wieku co Hamid, pieścił je i całował. A potem długo jak dziecko płakał w kącie namiotu.

tłum. *Rajmund Ohly*

[1] Złoto.

Rajmund OHLY

Poszukiwania arabskie

21 PAŹDZIERNIKA 1798 roku w okupowanym przez wojska napoleońskie Kairze wybuchło powstanie. Po pięciu dniach walk ulicznych rewoltę zduszono. Zginął komendant wojskowy Dupuy i adiutant Bonapartego — Józef Sułkowski.

Wydarzenie to, aczkolwiek bez istotnego znaczenia dla ekspedycji francuskiej w Egipcie, stało się punktem wyjścia dla nowego okresu historii arabskiego Bliskiego Wschodu, ponieważ okupant francuski zmuszony był zastąpić despotyczno-monarchistyczny aparat państwowy Mameluków — europejskim, feudalny — burżuazyjnym. Ów mechaniczny zabieg chirurgiczny nastąpił w okresie dogodnym, w chwili ekonomicznego impasu Bliskiego Wschodu, kiedy to feudalizm w swojej ostatniej, wstecznej już fazie hamował rozwój i postęp. Organizator i reformista Mohammed Ali pięć lat później rozszerzył skutecznie nowy system ekonomiczno-państwowy na Egipt i Syrię. Tym należy tłumaczyć fakt, że dwa wymienione państwa wyprzedziły pozostałe obszary arabskie: Półwysep Arabski, Irak Maroko, Tunis i Transjordanię o kilka wieków. Budowa kanału Sueskiego pogłębiła istniejącą przepaść. Nierównomierny rozwój ekonomiczny a stąd i kulturalny Bliskiego Wschodu znalazł swoje odbicie w literaturze.

Rozróżniamy obecnie wyraźnie dwa prądy kulturowe: kosmopolityczny — bezkrytycznie naśladujący wzory europejskie i amerykańskie oraz narodowy, postępowy przeciwstawiający się przemożnym obcym wpływom.

Pierwszy wytworzył się z chwilą najazdu brytyjskiego a później i amerykańskiego kapitału na kraje arabskie, który wydatnie i przede wszystkim przyczynił się do ostatecznego umocnienia form państwowych. Zapoczątkowana w ten sposób po roku 1917 nowoczesna urbanizacja, ruchliwe uprzemysłowienie, wreszcie przekształcenie się szeika, wodza szczepów koczowniczych, na „land-lorda" — obszarnika, umożliwił rodzimej, rozwijającej się burżuazji dostęp do wyższego szkolnictwa Francji i Ameryki Północnej. Na początku naszego wieku istnieje już w Stanach Zjednoczonych 300 tysięczna kolonia arabska. Powracające z emigracji drugie pokolenie przyniosło z sobą burzliwe prądy myśli, często postępowe, częściej jednak pozbawione już poczucia narodowego; stało się rozsadnikiem kosmopolityzmu.

Najlepszym tego dowodem jest pierwsza szkoła literacka na omawianych przez nas obszarach tzw. syryjsko-amerykańska, powstała w Libanie, w ośrodku uniwersyteckim Bejrutu. Dżebran (zm. 1931) lub Amin Rejhani (zm. 1940) odzwierciadlają w swoich dwujęzycznych powieściach jej program; godzą w obyczaje, więzy religijne i narodowe, odrzucają wszelką tradycję. Zasługą Dżebrana była walka o równouprawnienie kobiet Syrii znajdująca swój wyraz w powieści „Złamane Skrzydła". Jest to jedyna powieść tego autora, poświęcona zagadnieniom arabskim. Jak daleko posuwa się ten prąd literacki mogą świadczyć słowa innego przedstawiciela tego kierunku, aczkolwiek nie związanego ze szkołą syryjsko-amerykańską. Salamah Musa pisze: „Im bliżej poznaję Wschód, tym więcej staje mi się nienawistny i obcy; im bliżej poznaję Zachód, tym więcej przywiązuję się do niego, czuję, że należy do mnie a ja do niego". A oto kilka tytułów jego powieści: „Superman", „Najciekawsze historie miłosne świata", „Utopiści".

Działalność tej szkoły literackiej spotkała się z ostrą opozycją w dziedzinie literatury jak też w polityce. Już w roku 1906 założyciel partii narodowo-wyzwoleńczej Wafd — Mustafa Kamil nawołuje w żarliwych artykułach do walki przeciw tureckim i angielskim interwentom. Do tej partii garną się wszystkie postępowe elementy Egiptu. Powstała w 1916 roku nowa szkoła literacka, niesłusznie nazwana modernistyczną, o tendencjach narodowych, wypiera stopniowo ugrupowanie syryjsko-amerykańskie, aż w roku 1931 pozbawiła jego przedstawicieli wszelkich wpływów. Kierunek tej grupy wyraża Szahib Arslan słowami: „Musimy zwalczyć Europejczyków ich własną bronią — wykształ

(Dokończenie na str. 10)

Ks. Bp Bernard J. SHEIL

GRZECH SEGREGACJI

Ks. Biskup Bernard J. Sheil jest duchownym amerykańskim znanym ze swych wystąpień przeciwko dyskryminacji rasowej. Drukowany przez nas artykuł był zamieszczony w tygodniku „The Commonweal“ z dn. 14.VI.1946.

Redakcja

ZAKOŃCZYŁ się niedawno straszliwy konflikt światowy, w którym system rządów oparty na zaprzeczeniu braterstwa ludzi wynikającego z ojcostwa Boga miał widoki totalnego zwycięstwa. W tym okresie zmagań światowych kiedy braliśmy w nich udział jako naród, głosiliśmy z wielu trybun i przy licznych okazjach naszą głęboką i wytrwałą wiarę w zasadę moralną braterstwa między ludźmi. Z łatwą do wybaczenia dumą wskazywaliśmy na nasz system rządów, na wielką republikę opartą na zasadach demokracji i śmiało głosiliśmy, że w „kraju wolnych i ojczyźnie odważnych“ wszyscy, ludzie są równi.

Nawet kiedy z dumą mówiliśmy o naszej sprawiedliwości, zdawaliśmy sobie sprawę, że słowa te nie są zupełnie prawdziwe. Wielu z nas odczuwało w głębi ducha obłudę tych wypowiedzi nie popartych czynami, ale uspakajaliśmy nasze sumienie obiecując sobie, że kiedy niebezpieczeństwo minie i nieprzyjaciel zostanie pokonany, Ameryka ufnie rozpocznie realizację tego odwiecznego marzenia. Nasi wrogowie znali tę rozbieżność między śmiałymi słowami i naszymi nieszkodliwymi czynami i używali tych sprzeczności dla swojej propagandy. A jednak Ameryka w chwili największego niebezpieczeństwa, które jej zagrażało, naprawdę wierzyła w ostateczny triumf tego, co Gunnar Myrdal w swoim monumentalnym dziele nazwał „amerykańskim credo“: „bo jak trwoga to do Boga“. Myśląc o pobożnych rzeczach i wykrzykując demokratyczne hasła notowaliśmy w pamięci to co miało być zrobione dopiero w spokojnej przyszłości, kiedy słowo „tymczasem“ zniknie z naszego narodowego słownika.

Jedną z pierwszych spraw na liście oczekujących załatwienia po skończeniu wojny był problem murzyński, czy raczej problem stosunku białej Ameryki do kolorowej Ameryki. Czuliśmy, a serce nasze było gorące i dobra wola przenikała całą naszą istotę, że kiedy skończymy się bić, z łatwością zniesiemy z powierzchni ziemi tę krzyczącą anomalię naszego życia narodowego.

Wojna wreszcie dobiegła zwycięskiego końca. Nasi chłopcy przestali umierać na błotnistych polach Niemiec i koralowych wybrzeżach południowego Pacyfiku... A ustawie przeciw ograniczeniu czynnego prawa wyborczego pozwolono umrzeć w Kongresie. Młodzi, kolorowi Amerykanie nie mieli już okazji dowodzić swojej miłości dla kraju przez zdobywanie odznaczeń za waleczność i odwagę. A ci Amerykanie, którzy w dalszym ciągu apelowali o wprowadzenie ustawy o sprawiedliwych warunkach pracy, którzy błagali o prawo głosowania dla kolorowych Amerykanów zostali napiętnowani jako „wariaci“ lub komuniści. Oskarżenie to rzucili senatorzy Stanów Zjednoczonych, których jedynym tytułem do sławy był fakt zdobycia wyszarzałych tog senatorskich w wyborach stanowych, w których tylko nikły procent uprawnionych do głosowania brał udział. To była oburzająca odpowiedź na apel o sprawiedliwość rasową.

Nadszedł czas, aby spojrzeć w oczy faktom i to spojrzeć uczciwie. Braterstwo jest tylko słowem rzuconym na wiatr jeśli nie przyjmujemy wynikającej z niego odpowiedzialności. Jak śmiemy mieć nadzieję, że wprowadzimy w świecie pokój i ład oparty na sprawiedliwości, jeśli nie umiemy wprowadzić pokoju i ładu u siebie. Poza tym wyciąganie po przyjacielsku „białej jak lilia“ dłoni do świata w większości kolorowego a równocześnie popełnianie czynów, które są najohydniejszą formą dyskryminacji przeciw ciemniejszym braciom, jest najbardziej nonsensownym rodzajem hipokryzji. Najwyższy czas abyśmy przestali plamić nasze zasady moralne nieludzkimi uczynkami i zaczęli naprawiać tragiczne konsekwencje, które z tych czynów wyrosły:

- W związku z ohydną sprawą dyskryminacji rasowej stajemy przed problemem, którego waga znacznie przewyższa sprawę praw demokratycznych. Jest to jeden z najbardziej zasadniczych czynników utrudniających harmonię w społeczeństwie. Ponadto, a to jest najważniejszy aspekt całego zagadnienia, rozwiązanie jego jest sprawą zwykłej sprawiedliwości i miłosierdzia. Sposób w jaki rozwiążemy tę kwestię, jasno wykaże czy rzeczywiście kochany naszych bliźnich, czy tylko tolerujemy ich istnienie. Dane przez Boga każdemu człowiekowi prawo do życia na poziomie odpowiadającym jego godności dziecka Bożego, musi nam wskazywać drogę. A jednak cała teoria dyskryminacji rasowej stoi w sprzeczności z tą boską zasadą.

Samo istnienie tego co nazywamy (ze zrozumiałym zawstydzeniem) „chrześcijańskimi gettami“ jest absolutnym zaprzeczeniem nie tylko „amerykańskiego credo“, ale samego chrześcijaństwa. Ci bezbronni ludzie, których zamknęliśmy w legalnych obozach koncentracyjnych Ameryki są niemymi świadkami jak dalece odeszliśmy od przykazania „abyście się wzajemnie miłowali“. Kiedy próbujemy w płytki sposób usprawiedliwić i uzasadnić tę taktykę „getta“ na niepewnym gruncie konieczności ekonomicznych oskarżamy się o te same zbrodnie, które zarzucaliśmy hitlerowskim Niemcom.

Na słaby i nieistotny argument obrony „wartości nieruchomości“ nie można odpowiedzieć lepiej niż cytując doskonały artykuł ks. George H. Dunne „Grzech segregacji“, który niedawno ukazał się w „Commonwealth“ (21 wrzesień 1945):

„Mówi się, że ludzie mają prawo chronić wartość i atrakcyjność swoich domów, nie godząc się na wtargnięcie niepożądanych osobników do ich dzielnicy. Ten zużyty argument źle zasłania nagość fałszywego rozumowania, które się pod nim kryje. Jak wszystkie analogie argument ten pomija zasadniczą różnicę pomiędzy segregacją rasową a jakąkolwiek inną. Zakładając nawet słuszność prawa zakazującego wstępu do dzielnicy osobom niechlujnym lub o niskim poziomie moralnym powstaje pytanie: „Na jakiej podstawie zabraniacie wprowadzić się komuś, czyj poziom moralny nie budzi zastrzeżeń a czyją winą jest jedynie to, że ma przodków Murzynów“? Odpowiedź brzmi: „Dlatego, iż fałszywie i niesprawiedliwie utrzymujecie, że sam fakt posiadania murzyńskich przodków jest już sam w sobie pewną formą nieczystości. Ustalajcie swoje przepisy dla wynajmujących mieszkania na jakich chcecie podstawach — moralności życia, ogłady towarzyskiej, fizycznej czystości czy domowego porządku. Żadna z tych restrykcji nie implikuje istnienia narodu, nieczystego już w swej istocie. Fałsz i hipokryzję tych, którzy bronią prawa dzielnicowej segregacji, powołując się na chęć utrzymania właściwego poziomu moralnego, czystości czy piękna, podkreśla nie ulegający wątpliwości fakt, że ci sami ludzie, a w każdym razie większość z nich, woleliby białego sąsiada, który łamałby wszystkie ich zasady niż Murzyna, który by więcej niż odpowiadał ich najostrzejszym wymaganiom... Biały rozpustnik będzie przyjęty, a czarny święty nigdy nie byłby tolerowany“.

Żeby wyliczyć zło, które wynika z dyskryminacji rasowej trzeba wymienić te grzechy przeciw miłosierdziu, których my, biali jesteśmy winowajcami. Słabe zdrowie, złe warunki mieszkaniowe, choroby, żeby wymienić tylko niektóre, są nieuchronnymi skutkami rasowej segregacji. Z niedomaganiami fizycznymi łączą się liczne stany psychiczne, które ten niechrześcijański styl życia wywołuje, zarówno wśród białych, jak i wśród Murzynów. Strach i niepokoje, gorycz, tarcia i nieufność — oto są tylko niektóre chorobliwe stany psychiczne płynące z dyskryminacji rasowej.

Trzeba stwierdzić, że podstawy dyskryminacji rasowej i wszystkich innych nieludzkich praktyk rasowych na które zobojętnieliśmy są diametralnie i krzycząco przeciwne każdej koncepcji chrześcijańskiej etyki. Ci, którzy biorą udział w takich praktykach nie mogą się tłumaczyć nieznajomością nauki chrześcijańskiej. Oni wiedzą, choć niewątpliwie woleliby zapomnieć, że takie właśnie uczynki Chrystus potępił, kiedy ostrzegał: „Cokolwiek uczynilibyście jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili“. Kiedy wygodniccy, zadowoleni z siebie bałwochwalcy status quo, czy tak zwani obrońcy praw własności odmawiają jakiejkolwiek istocie ludzkiej możliwości życia na zasadzie uczciwej, obiektywnej równości, odmawiają jej Synowi Bożemu. Z przykrością trzeba stwierdzić, że dobrzy skądinąd chrześcijanie zupełnie ignorują ten zarzut a kiedy stykają się z konsekwencjami dyskryminacji, w dalszym ciągu hołdują swym własnym małym, niczym nie usprawiedliwionym przesądom.

Mówiłem już i powtarzam, że kościoły wszystkich wyznań religijnych ponoszą winę za fakt, że niesprawiedliwość społeczna, nierówność rasowa i ekonomiczna są ciągle jeszcze przeszkodami w pełnym urzeczywistnieniu „amerykańskiego credo“. Ojcostwo Boga i braterstwo między ludźmi są podstawowymi dogmatami wiary chrześcijańskiej . Co więcej, one są i muszą być istotnym źródłem całego naszego chrześcijańskiego stylu życia. Niezrozumienie tego jest niezrozumieniem samej istoty chrześcijaństwa. Ta zasada nie pozostawia też miejsc na kompromisy. Przywódcy religijni w przeszłości zbyt często pod pozorem roztropności nie chcieli rozumieć czy odważnie głosić, co znaczy braterstwo między ludźmi przetłumaczone na język prostej sprawiedliwości i miłosierdzia wobec biednych, nieuprzywilejowanych i uciskanych. Nadmiar szacunku dla miejscowego bankiera, przemysłowca czy polityka skłaniał ich do milczenia, a przecież nauka Chrystusa nie dopuszcza żadnych kompromisów. Wiadomo, że Ewangelia ma być głoszona wszystkim ludziom wszystkich stanów, ale musi to być ta sama dla wszystkich Ewangelia podawana w sposób nie budzący podejrzeń o ustępstwa czy kapitulacje.

Bywają okoliczności, które wymagają praktykowania cnoty roztropności. Bywają także okoliczności wymagające odważnego myślenia i czynów, ale w żadnych okolicznościach nie wolno szukać kompromisów w realizowaniu podstawowych zasad moralnych. Albo wierzyliśmy i braliśmy poważnie to, co głosiliśmy światu o godności człowieka i istotnej jedności jego natury, albo kłamaliśmy. Jeśli jednak mówiliśmy prawdę, to na miłość Boga zacznijmy uczciwie i bez zastrzeżeń realizować nasze zasady.

Ks. Biskup Bernard J. Sheil

Vox humana

Twórczość Iwaszkiewicza z okresu „Ciemnych ścieżek“, „Od olimpijskich”, „Wierszy ulotnych” świadczy, iż nie ma powodu, by przyjmować, że ci którzy dojrzewali w atmosferze dwudziestolecia, nie zdołają wyzwolić się spod sugestii przeszłości i utorować sobie drogi do nowego świata. Nie ulega wątpliwości, że właśnie to wyzwolenie się z obciążeń minionej epoki umocniło kandydaturę Iwaszkiewicza do tegorocznej nagrody państwowej. Uczczono nią nie tylko dawne i nowe tryumfy artysty, ale także wielkie i piękne zwycięstwo człowieka nad determinantami epoki i środowiska, zwycięstwo świadomości humanistycznej nad pokusami artystostwa i „wieży z kości słoniowej”:

Na chwilę tylko pośród innych fal powstałem,
Za chwilę się rozprysnę. Tylko czuję radość,
Że płynę tak z innymi falami do brzegów,
Na których przyszłe jasne stoją domy.
(„Rozmyślanie nad morzem“)

DROGA POETY

Chcę być, chcę trwać, chcę myśleć, chcę cierpieć, chcę tworzyć,
Do wyczerpania czerpać i do pełna dożyć...
(„Wieczór późnej jesieni na polach pod Sieną“)
...los mi przeznaczył
Pisać wiersze: układać słowa dla Polaków...
(„List do Prezydenta Bieruta“)

Dokończenie ze str. 3

W poprzednim rozdziale niniejszego szkicu mówiliśmy o znaczeniu twórczości Iwaszkiewicza jako **czynu humanistycznego**, jako tryumfu żywiołu historii i świadomości nad żywiołem nie poddanej normom ponadjednostkowym inspiracji twórczej. Nie możemy jednak poprzestać na określeniu tylko punktu dojścia poety. Ważna jest dla nas cała droga jego rozwoju.

Poszczególne jej fazy omówiliśmy już poprzednio. Postarajmy się teraz spojrzeć na tę poezję jako na zamkniętą już epokę pracy pisarza.

Jeden z najpoważniejszych walorów poezji Iwaszkiewicza leży w tym, że jest ona dokumentem określonego czasu i określonego środowiska. Ale nie tylko dokumentem psychologicznym i socjograficznym. Jest nim ona także jako pełny i konsekwentny odpowiednik artystyczny określonego stylu życia i myślenia. Wypowiada ona swój czas i swoją bazę społeczną tonacją stylu, meandrami składni, zasobem leksyki. Poezja ta to jakby pośmiertna maska zdjęta z twarzy umarłej epoki. Można atakować lirykę Iwaszkiewicza z różnych względów, nie podobna jednak zaprzeczyć, że zanim dojrzała ona do roli czynnika kształtującego świadomość historyczną społeczeństwa była rejestratorem wydarzeń zachodzących w tej świadomości.

Równocześnie była ona artystycznym kształtem przeżyć określonej osobowości. Jest w tej poezji wiele wyrafinowania i wirtuozerii a nawet igrania słowem, ale nie odnajdziemy w niej nalotów obcego stylu i obcego widzenia rzeczy. Jeżeli trafiają się u Iwaszkiewicza jakiekolwiek wpływy obce, to są to wpływy w zupełności przyswojone, tak organicznie niemal wrośnięte w miąższ jego własnej poezji, że w zupełności z nią zasymilowane. Liryka ta wypowiada treści własne określonej jednostki, wyraża jej życie psychiczne w formie możliwie najbardziej pełnej i dogłębnej, ryzykując nawet czy to fałsze harmonii estetycznej czy też niebezpieczeństwo obrażenia gustów, poglądów i narowów myślowych czytelnika. Jest ona jednym z najpełniejszych w naszej literaturze dokumentów ludzkich. Poezja wyrosła nie ze sztukmistrzostwa „zawodowej” literatury, lecz z konkretnych przeżyć ludzkiej osobowości, poezja nasycona człowieczeństwem:

Ach, nie ostatnim ani pierwszym,
Któremu na to serce dano,
Aby zaklinać w małość wierszy
Olbrzymi pogłos — vox humana.
(„Ciemne ścieżki“)

Stefan Lichański

Józef BIENIEK

Rożnów daleki i bliski

NA 400 rodzin zamieszkujących Rożnów przeszło 50 nosi nazwisko — Hajduk. Znawców historii słowo „hajduk" zawiedzie w mroczne podziemia dziejów, w pobliże koron i tronów, twierdz i dworów, wielmożów i jaśniepanów. I przypomni, że hajduk — dworski sługa, to nędzarz pomnażający pańską dostojność pomniejszaniem własnego człowieczeństwa — cierpliwy a bezwolny twórca czyjejś chwały i własnej klęski. Chwały, która rosnąc na nędzy, krzywdzie i łzach zgniła i przepadła, i klęski, która poprzez trud, krew i gniew przemieniła się w zwycięstwo.

U HAJDUCZEGO ŹRÓDŁA

DROGA, jedna z najpiękniejszych jakie poznałem w życiu, wiedzie szczytem wzgórz, które tworzą naturalny wał dzielący jezioro od wsi. W kotlinie okolonej zielonymi wzniesieniami, niby źrenica w gąszczu brwi i powiek, lśni jezioro — modre oko, którym ziemia spogląda niebu w twarz. Nad przybrzeżnymi mieliznami, jak pył nad drogą stoi soczysty wrzask kąpiących się dzieci, a na głębinach białe chmurki płyną bezszelestnie myjąc zaprószone włóczęgą po niebieskich gościńcach pióra.

Po drugiej stronie drogi w rozległej dolinie rozsiadły się wsie, których ludność oddycha wreszcie spokojnie, odkąd ujarzmiony betonowym kagańcem zapory Dunajec przestał tratować powodziami plody żyznych ziem i zamulać serca rozpaczą. U skraju doliny wśród najurodzajniejszych pól stoi dwór, a zaraz obok resztki starej twierdzy, z oryginalnym i bodaj jedynym w Polsce beluardem na przedzie. Z pomiędzy gałęzi wiekowych lip przeświecają stare ściany, podobne wyrzuconym na brzeg rzeki kościom mamuta.

To tu właśnie, w cieniu lip i pańskiej chwały koncentrującej się na terenie Rożnowa bardzo wcześnie i z siłą wyjątkową — rosło karmione krzywdą plemię hajduków. Hajduków i innych, którzy bezimiennym trudem poprzez wieki całe uprawiali i nawozili obszary dziejów, tworząc historię i bogacąc jej owocami konta uprzywilejowanych. Rosło hajduczе plemię twarde, trudne i uparte, jak krzew w cieniu dębowej korony, rosło po to, aby rycerzy, hetmanów i hrabiów usunąć i pańską władzę zastąpić władzą l u d o w ą.

ZWYCIĘSTWO

SPRAWIEDLIWOŚĆ jest jak źródło — długo się wikła i błądzi wśród głazów, szczelin i korzeni, aż wreszcie znajduje ujście i wybucha, aby chłodzić spalone pragnieniem usta wędrowców.

Tego lipcowego dnia nowy włodarz rożnowskiej gromady — Władysław Hajduk stojąc u stóp tysiącletniego dębu na dawnym dziedzińcu zamkowym czytał uchwaloną właśnie Konstytucję. Głos sołtysa chwilami słabnął i opadał drżąc ze wzruszenia, to znów podnosił się, mocniejąc i twardniejąc. A stał pod drzewem, na którym jak chce legenda zginął jego pra-pradziad, powieszony na rozkaz pana za niesubordynację.

Gdy uprzytamniam sobie ten fakt — rozumiem gwałtowne skurcze przebiegające raz po razu przez twarz sołtysa Hajduka. I rozumiem także ten wielki uśmiech towarzyszący zakończeniu czytanych ustaw. Sprawiedliwości stało się zadość. Tych, którzy wieszali nie ma już — ich pamięć powieszono w lamusie historii jak smutny i niepotrzebny obraz. Ci których wieszano — pozostali aby żyć!.

Spod dębu, z którego kiedyś kapały najtragiczniejsze łzy konającego człowieka — niosą się w tłum radosne słowa o zwycięstwie. Ogłasza je długą serią paragrafów potomek tych, dla których ongiś jedynym paragrafem był kij, a jedynym prawem — prawo krzywdy.

DWÓR wygląda jak emerytowany radca, w którego kiedyś galowym a dziś wypłowiałym garniturze świecą się liczne dziury, złe wystawiające świadectwo opiekunom sędziwego staruszka. Powstał on w początkach XIX wieku, obok rozsypującej się twierdzy, bardzo wobec niej „chuchrowaty", jako widomy znak dokonywającej się ruiny magnackiego świata.

Klasycystyczny budynek choć niezbyt imponujący z zewnątrz — pełen jest bezcennych malowideł ściennych, których rekonstrukcja i uchronienie od zagłady jest najgoretszym nakazem kulturalnym tutejszej chwili. Szczególną wartość jako zbiór dzieł sztuki posiada salon zwany „Paryżem", w którym znajduje się 8 widoków Paryża, podzielonych kolumnami oraz plafon i 3 supraporty (Syreniusz, Kopernik i Klug) malowane „en grisaille" w stylu klasycystycznym. Niemniej cenne są pokoje sąsiednie, których ściany zdobią obrazy przedstawiające pory roku, czy rodzajowe sceny z historii polskiej (ułani księcia Józefa) itd.

Dwór ten od czasu zakończenia wojny popadł w wyraźną niełaskę losu, przechodząc różne koleje, a raczej rożne stopnie dewastacji.

Ekipa konserwatorska dłubała tu przez wiele miesięcy odkrywając spod warstwy wapna i czyjejś głupoty malowidła. Nie pomyślano przecież o tym, że na ratunek staremu zabytkowi należało ruszyć nie od strony obrazów, ale od strony dachu. Wprawdzie rozpalone głowy konserwatorskich pięknoduchów chłodził od czasu do czasu kapiący przez dziury w dachu i suficie deszczyk, ale to jakoś nie pomagało. Działało tu zapewne prawo przyzwyczajenia — wiadomo przecież, że nie tak dawno jeszcze artystom ciągle kapało za kołnierz i wiało w oczy. Dłubano więc dalej z namaszczeniem i beztroską, aż się pewnego dnia zapadł w rekonstruowanej sali sufit, co nareszcie pozwoliło czynnikom konserwatorskim dojść do właściwego wniosku.

Rzucono tedy trochę pieniędzy na załatanie dziur w dachu i na tym prace zakończono, a rozpoczęto długi spór, którego końca mimo rocznej kontynuacji jakoś nie widać. Chodzi mianowicie o to, kto ma rożnowski pałac odrestaurować. Urząd Konserwatorski (z wspaniałą beztroską) obciąża tym problemem Gminną Spółdzielnię w Kobyle Gródku, która oficjalnie administruje obiektem wchodzącym w skład resztówki. Urząd Konserwatorski wcale się jednak nie martwi takim drobiazgiem, skąd uboga spółdzielnia weźmie na ten cel pieniądze. A faktem jest, że remont ten kosztował będzie grubo więcej niż w tej chwili warta jest spółdzielnia cała, ze wszystkimi ruchomymi i martwymi elementami swego majątku. Dokąd więc spółdzielnia nie uzyska na remont pałacu odpowiednich funduszy, tak długo nie ma mowy o podjęciu przez nią poważniejszych prac restauracyjnych.

Zaś prace te należałoby podjąć jak najpilniej. Już. Nim zbutwiałe krokwie i wiązania dachu nie runą wywalając sufity i niszcząc do reszty obiekt o bardzo wysokiej wartości zabytkowej.

DWIE WAROWNIE

NA SZCZYCIE wzgórza stojącego w połowie drogi między Rożnowem - Zaporą a Rożnowem - Wsią sterczą ruiny zamku wzniesionego tu w XIII wieku przez założyciela Rożnowa rycerza Piotra z Rożna. Poszarpane choć wciąż jeszcze imponujące resztki starej budowli smutne przywodzą myśli: ileż tu wylało się niewolniczych łez, potu i krwi nim na urwistym cyplu przy użyciu tylko ludzkich rąk powstał ów kolos!

Zadumę rozrzedza a wreszcie przerywa bezustanny szum i łoskot dobiegający z zielonej paszczy doliny. Niedaleko od ruin, na dnie wąskiej gardzieli wyrasta inna twierdza, dzieło nowoczesnych rycerzy postępu, gigantyczna budowla, jedna z największych w środkowej Europie — Zapora. Jej to turbiny i generatory popędzane straszliwą siłą walących się z wysoka wód — huczą bezustannie produkując bezcenną energię elektryczną.

Od Zapory biegną gęsiego potężne maszty, dźwigające na ramionach żyły przewodów, za pomocą których rożnowska elektrownia „karmi" siłą i światłem wiele miast, wsi i fabryk. Sterczące na wzgórzach maszty są jak legendarne wielkoludy, o których tatrzańska baśń mówi, że z góry na górę podawali sobie ciupagi...

Legendy zawierają w sobie ziarno przyszłości — powiedział ktoś. I słusznie. Świadczy o tym spełniony mit o Ikarze czy realizująca się na polach pegeerów i spółdzielni legenda o Jazonie, który orał ziemię przy pomocy ziejących ogniem byków. I tu stara klechda tkwiąca w złożach pamięci jak umarły korzeń w głębi ziemi — ożyła nagle i obrodziła sensem o ileż wspanialszym niż baśniowe ciupagi, którymi zuchwali zbójni rąbali swe twarde i harde łby.

Ciekawe i symboliczne niemal są tutejsze spotkania starego z nowym. Oto stojące na wzgórzu resztki twierdzy zbudowanej ongiś po to, aby bronić kraju przed zalewem wrażych sił i zaraz obok zapora, której wspaniałym celem jest też obrona setek wsi przed najazdem szalejących fal Dunajca. Różnice w strategii użytkowej olbrzymie, ale jakże trafna lokalizacja obydwu obiektów. Widać, że nie od parady nosili głowy budowniczowie średniowiecza.

Chodzić przecież będzie głównie o to, że kiedy dookoła twierdzy poniewierało się człowieczeństwo zepchniętych na margines bytu mas — to dziś w olbrzymim zasięgu bijącego od Zapory blasku potężnieją, rosną i pięknieją sprawy tych, którzy wieki całe tkwili w kręgu cienia i krzywdy.

Jakże wspaniały i urzekający jest nurt przemian w korycie dziejowych rzek. Szkoda tylko — myślimy o tym co było — że tak powolny i tak późno dobijający do portu sprawiedliwości.

Józef Bieniek

Poszukiwania arabskie

(Dokończenie ze str. 8)

ceniem", a rektor uniwersytetu kairskiego Dr. Taha Husejn uzupełnia jego myśl; „Nauka niech będzie europejska, ale sztuka i literatura, nasza, arabska". Realizację tego programu przeprowadzono konsekwentnie. Rozbudowano przede wszystkim ośrodki uniwersyteckie Kairu i Bejrutu a pisarzom postępowym udostępniono prasę, zwłaszcza czasopisma „al-Dżarida", („Gazeta") oraz starsze „al-Hilal" (Półksiężyc), które stały się rzecznikami reform społecznych. Ostrze ich zwrócone jest przeciwko reakcyjnym pismom syryjskim lub mekkańskim jak „al-Ahram" (Piramidy), czy też „Umm al.Kura" (Matka Miast). Taha Husejn uzbraja krytykę literacką w nowoczesne metody a popularyzacją dzieł, traktujących o historii wschodu muzułmańskiego, o historii literatury arabskiej pióra Dżrdżi Zejdana i Mahmuda Tajmura utrwala no kult tradycji wśród burżuazji. Równocześnie zwrócono baczną uwagę opinii publicznej na szerokie masy społeczeństwa, chłopstwo żyjące w nieludzkiej nędzy. Mohammed Husejn Hajkal opublikował opowieść „Zejnab", przedstawiającą tragiczny obraz wsi egipskiej, Taha Husejn wydał kronikę autobiograficzną „Dni" o treści podobnej do „Zejnaby". Wynikiem tej szeroko zakrojonej akcji publicystycznej, była reforma rolna, która zmieniła wprawdzie wyzysk feudalny na kapitalistyczny, ale umożliwiła przynajmniej pewnej części chłopów przejście na wyższy etap produkcji rolnej lub przerzuciła do przemysłu.

Koniec drugiej wojny światowej zastaje okres względnej stabilizacji w literaturze arabskiego Bliskiego Wschodu. Zniwelowały się sprzeczności. Czytelnik nie znajdzie już radykalnych form i treści, towarzyszących gwałtownemu rozwojowi. Pisze się dużo, lecz nie zaskakująco, pisze się o wszystkim, ale nie domagając się reform. Wybitni pisarze, którzy tworzą już kilkadziesiąt lat, zmechanizowali swój warsztat pracy dowodząc tym, że język arabski, giętki i subtelny, doskonale nadaje się do wyrażenia uczuć i myśli wszelkiego rodzaju. A jednak w powodzi czasopism, powieści, nowel, wreszcie w świadomej, niespontanicznej poezji można zauważyć dwa nurty literackie; nowy — pod postacią symbolizmu, drugi — kontynuujący realizm krytyczny lat poprzednich.

Niepowodzenie reform społecznych oraz kryzys Islamu jako systemu religijno-filozoficznego, wytworzyły pesymistyczny, irracjonalny światopogląd i odsunęły znaczną ilość pisarzy od aktualnych zagadnień. Stąd w poezji — zjawiły się nareszcie po tysiącletnim milczeniu — spotykane u epigonów najwybitniejszego irackiego poety az-Zahawi'ego (zm. 1936), wyrażone wprawdzie rewolucyjną formą „białego wiersza", egotyczne, sielankowe przeżycia. Powieść i opisarze wahają się jeszcze przed ekskluzywnym wyborem symbolizmu, czy realizmu. Taha Husejn jeszcze raz wstrząsnął opinię publiczną opowiadaniami o tematyce wiejskiej pt. „Wołanie kuropatwy" oraz „Drzewo nieszczęścia", ale coraz częściej ucieka od rzeczywistości, poświęcając się pracom symbolicznym jak np. „Sny Szeherezady" lub tłumaczeniom z języków obcych. Podobnie Mahmud Tajmur nie znajduje jeszcze wyjaśnień sprzeczności panujących na wsi, stara się je tłumaczyć w sposób irracjonalny np. w opowieści „Sabha".

Niemniej jednak wzmożona walka przeciwko brytyjskiemu okupantowi wskazuje literaturze wyjście ze ślepego zaułka ideologii. W Syrii czasopismo „at-Tarik" (Droga) poświęca przeważną część swej treści Związkowi Radzieckiemu, a to tłumaczeniom Erenburga i Szołochowa. Zmienia się upodobanie czytelnika. Miejsce Dostojewskiego zajmuje Gorki, Musseta-France, Szekspira — Shaw.

Trudno dzisiaj przewidzieć dalszy rozwój literatury arabskiej, lecz, jakikolwiek kierunek obierze, włączenie jej do orbity literatury światowej zbliży ją do prawdy artystycznego wyrazu.

Rajmund Ohly

Szymon DEREŃ

RABACJA I SZELA

Jedyną pracą historyczną wyróżnioną tegoroczną Nagrodą Państwową jest dzieło prof. Stefana Kieniewicza*) Zasługuje ono na uwagę ze względu na nowe, ciekawe ujęcie sprawy rabacji i roli w niej Jakuba Szeli.

Przez wiele dziesiątków lat t. zw. rzez galicyjska była straszakiem, którym ziemiaństwo polskie usprawiedliwiało politykę ugody z rządami zaborczymi, a historiografia pokrywająca obronę interesów warstw posiadających postulatem solidarności narodowej unikała głębszego wyjaśnienia tej sprawy, ograniczając się do jednostronnego uwypuklania w niej roli biurokracji austriackiej. Propagowano tezę, że chłop galicyjski padł ofiarą macchiavelizmu reżimu metternichowskiego, wykorzystującego go przeciw polskiemu ruchowi niepodległościowemu. Z tego faktu obóz szlachecki wyciągał wniosek, że trzeba ściśle współpracować z monarchią habsburgską, aby uniknąć na przyszłość takich wypadków, a obóz liberalny brał asumpt do bagatelizowania społecznego aspektu tej sprawy.

W dwudziestoleciu oficjalna historiografia pomijała celowo „drażliwą sprawę" pozorując to faktem, że dyrektor archiwum lwowskiego dr Eugeniusz Barwiński zbiera materiały do historii roku 1846, której ostatecznie nigdy nie napisał. Z pozostawionych przez niego materiałów wynika, że pomijał on całkowicie stronę gospodarczo - klasową zagadnienia, zbierając tylko dokumentację opisową. Z powodu braku naukowego opracowania rabacji Szela pozostawał dla wychowanych na tendencyjnych książkach historycznych pokoleń krwawym symbolem zdrady narodowej, podczas gdy z drugiej strony taki np. Bruno Jasiński podnosił go w swym poemacie do wyżyn bohatera i męczennika sprawy ludowej.

Pewną próbę zrewidowania tych pojęć podjął historyk Michał Janik, zwracając uwagę w ogłoszonej w 1934 r. rozprawce przyczynkarskiej, iż Szela nie był tylko biernym narzędziem w rękach władz austriackich, lecz usiłował również podjąć z nimi walkę przeciwko przywracaniu pańszczyzny. Dopiero jednak dziś Stefan Kieniewicz przepracował gruntownie całe zagadnienie rabacji i rzucił nań nowe światło.

Autor poszedł po prawidłowej drodze badając najpierw podłoże społeczne, na którym rozgrywały się wypadki 1846 roku, a więc sytuację gospodarczą wsi i jej stosunek do wielkiej własności. Na tym tle dopiero zanalizował motywy działania czterech podstawowych sił, które odegrały rolę w dojściu do skutku rabacji, a mianowicie szlachty posiadającej, polskiego obozu niepodległościowo-demokratycznego, chłopów i biurokracji austriackiej.

Rzecz działa się w przededniu Wiosny Ludów, to znaczy w okresie kiełkowania ruchu rewolucyjnego oraz dojrzewającego kryzysu ustroju pańszczyźnianego. Istniała już świadomość konieczności przebudowy struktury agrarnej na pod stawach gospodarki kapitalistycznej, ale atut częściowej, możliwie nie naruszającej interesów wielkiej własności ziemskiej, poprawy sytuacji chłopów chciała wygrać zarówno szlachta polska reprezentowana przez galicyjski sejm stanowy jak i administracja austriacka, ta ostatnia pod kątem pozyskania mas wiejskich dla władzy centralnej przeciwko polskim aspiracjom narodowo-niepodległościowym.

Obóz demokratyczny, pod wpływem Dembowskiego, szykował w Galicji powstanie narodowe, pragnąc oprzeć je o masy ludowe pozyskane obietnicą natychmiastowego skasowania pańszczyzny. Chłopi walczyli coraz natarczywiej o swe prawa, czego wyrazem były wciąż liczniejsze, wytaczane przed władzami austriackimi, procesy o krzywdę ze strony dworów i nieprawne pobieranie pańszczyzny. Jednym z mężów zaufania chłopów w takich procesach był Szela.

Odgłosy opracowywanych przez Sejm Stanowy projektów połowicznej i niedostatecznej reformy rolnej, inspiracje władz austriackich, że ochronę chłopu przeciwko panom dać może tylko cesarz i agitacja rewolucyjno - powstańcza emisariuszy Towarzystwa Demokratycznego trafiały do wsi, powodując jednak swą sprzecznością taki zamęt, że trzymani sztucznie w ciemności chłopi zrozumieli tylko jedno: nadszedł czas skasowania pańszczyzny, przeciwko czemu są panowie polscy, z którymi identyfikowano wszystkich inteligentów nawołujących do powstania.

Na tym polegał właśnie tragizm sytuacji i perfidia władz austriackich, że chłop nie rozróżniał oszukańczych manewrów szlachty od akcji narodowo-powstańczej dokonywanej w jego interesie. Dlatego wezwania władz do łapania i do starczania policji agitatorów oraz nakazy niektórych starostów, (jak Breinl w tarnowskim), tworzenia wart chłopskich dla uniemożliwienia koncentracji powstańców, odniosły skutek, paraliżując wyznaczone już powstanie.

Sprowokowana zewnętrznie inicjatywą lokalnych władz austriackich uzbrojona aktywność chłopska przybrała automatycznie charakter wyraźnie klasowy. Wieś wystąpiła przeciwko dworom jako takim rozumiejąc po swojemu, że paląc majątki i zabijając szlachtę wyzwala się od pańszczyzny i ma placet władz rządowych. Tam nawet, gdzie lokalne władze administracyjne nie aprobowały pośrednio mordów za pomocą płacenia nagrody za dostarczonego, żywego lub umarłego „powstańca", chłopi odmówili natychmiast pracy pańszczyźnianej, uważając na podstawie fałszywej wersji o manifeście cesarskim, że uzyskali już wolność.

Kieniewicz przekonywająco wykazał, że nie można traktować postępowania władz austriackich jako jednolitej całości. Część biurokracji, określana jako liberalna, hołdowała tradycjom józefińskim wygrywania chłopów przeciwko szlachcie, uważanej przez nią jako główne ognisko dążeń niepodległościowych. Drugi odłam, z gubernatorem Galicji arcyksięciem Ferdynandem d'Este na czele, poczuwał się do całkowitej solidarności z ziemiaństwem polskim i uważał wszelkie wygrywanie ruchów chłopskich za niezmiernie niebezpieczne dla podstaw ustroju społecznego kraju.

Lokalizacja rabacji w paru powiatach Galicji była wynikiem tego, że tam właśnie starostowie, w dużej mierze na własną rękę, usiłowali złamać powstanie przy pomocy chłopów. W innych powiatach władze lokalne tłumiły w zarodku wszelki ruch chłopski. Rząd centralny w Wiedniu był przerażony rabacją, chociaż poprzednio Metternich nie forsował tłumienia zapowiadającego się powstania w Galicji, gdyż chciał wykorzystać to dla uzyskania od Mikołaja I zgody na aneksję Krakowa przez Austrię. W związku z rabacją rząd wiedeński ogłosił list cesarski, który pod banalnymi zdaniami wdzięczności dla „wiernego ludu" za udaremnienie powstania, nakazywał natychmiast powrócić do porządku i podjąć roboty pańszczyźniane, nie obiecując na wet jakiejkolwiek reformy stosunków agrarnych.

Wtedy ujawnił się w całej pełni właściwy klasowy charakter ruchu chłopskiego. Pomimo wezwania administracji austriackiej, chłopi nie przystąpili do pracy na polach dworskich, stojąc twardo na stanowisku, że pańszczyzna jest już obalona. W tym momencie wysuwa się na pierwszy plan osoba Szeli. Dotychczas był on tylko jednym z lokalnych przywódców tak zwanej „czerniawy". Swą energią i zdecydowaniem zdobył sobie wtedy duży autorytet w okolicznych wioskach, to też starosta Breinl konferował z nim osobiście, uważając go za dobrego wykonawcę jego planów.

Nie był on jednak ślepym narzędziem i pretendował do roli przywódcy chłopskiego. Szela zaprowadził w swej okolicy rygor i dyscyplinę, zakazał wszelkich rabunków, aby dostosować się do poleceń ze Lwowa, lecz wezwał chłopów, w sposób kategoryczny aby nie podejmowali pracy pańszczyźnianej w oczekiwaniu spodziewanego manifestu wolnościowego cesarza. Jednocześnie złożył w imieniu 50 gmin powiatu jasielskiego i tarnowskiego petycję do gubernatora Galicji, domagającą się uregulowania sprawy pańszczyzny. W osobistej rozmowie z zastępcą gubernatora Lażanskym oświadczył, że ostatecznie skłoni chłopów do tymczasowego podjęcia pracy, ale w nadziei, że „cesarz uczyni im jakąś ulgę czy to w drodze zamiany pańszczyzny na czynsze, czy też w jakiś inny sposób".

Rząd wiedeński poczuwał się jednak do pełnej solidarności z wszelką wielką własnością, nawet polską. Ogłoszony ostatecznie manifest cesarza potwierdzał pańszczyznę, kasując tylko pewne ciężary drugorzędne i pozwalając chłopom składać skargi na dwory bezpośrednio do władz państwowych przy ominięciu dotychczas obowiązującej drogi przez zainteresowanego właściciela. W ten sposób rząd stwarzał sobie możność lokalnego jątrzenia, w swoim interesie, stosunków między wsią i dworem.

Dla zmuszenia chłopów do podjęcia pracy pańszczyźnianej władze austriackie użyły wojska, przeprowadzając brutalną pacyfikację. Widząc się oszukanym przez rząd Szela załamał się. Nie starczyło mu hartu, aby rzucić hasło do dalszej walki o wyzwolenie spod pańszczyzny. Dotąd prowadził politykę targów, groził po to, aby wymusić ustępstwa dla chłopów. Taktyka jego została przekreślona przez pacyfikację rządową, a on sam porzucił swą okolicę, oddając się dobrowolnie w ręce władz, które go najpierw internowały policyjnie, a następnie przesiedliły na Bukowinę. Dla tego jak pisze Kieniewicz — „Szela, nie zdobywszy się na wyłamanie spod rozkazów władz austriackich, przeszedł do tradycji dziejowej, nie jako przywódca ludu, a tylko jako ślepy mściciel jego krzywdy".

Ma rację autor twierdząc, że łatwo jest potępić „rabantów" i umyć ręce od wszelkiej odpowiedzialności, zrzucając winę na rząd zaborczy, lub wpaść w przeciwną demagogiczną skrajność pochwalając bezkrytycznie akcję chłopską w 1846 roku, która miała fatalne z wielu względów skutki dla walki narodowo-wyzwoleńczej w Galicji. Tylko naukowe i źródłowe badanie faktycznych przyczyn, które w sposób nieunikniony doprowadziły do rabacji, może wyjaśnić nam tę sprawę i pozwolić ocenić jej zarówno ujemne jak i dodatnie konsekwencje. Praca profesora Kieniewicza jest bardzo poważnym krokiem na tej drodze.

*) Prof. Stefan Kieniewicz: „Ruch chłopski w Galicji w 1846 r." Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wrocław 1951, str. 376.

Doświadczenie społeczne

(Dokończenie ze str. 1)

Człowiek z tej samej tylko racji, że jest człowiekiem, odnajduje w sobie dyspozycje do przeżyć tego rodzaju. Uspołecznienie bowiem wyraża się przede wszystkim w przezwyciężeniu tego wszystkiego, co zasklepia, izoluje i waśni. Z przezwyciężenia przez jednostkę tych obciążeń skrajnego indywidualizmu rodzi się możliwość zajęcia postawy aktywnej społecznie. Uspołecznienie prowadzi do rozbudzenia procesu twórczego, który odkrywając jednostkę przed nią samą, stanowi jej społeczną rehabilitację.

POTRZEBA ZESPOLENIA WEWNĘTRZNEGO

USPOŁECZNIENIE wyraża się w całej życiowej postawie, a więc zarówno w stosunku do bliźnich, do obowiązku społecznego, do pracy zawodowej, do sztuki, do spędzania wolnego czasu. Przekonanie, że poszczególne sfery życia człowieka mogą pozostać jakoś autonomiczne w stosunku do innych, że inną treść swego ja wyrażamy w pracy a inną w chwilach od niej wolnych, że kim innym możemy stać się, przeżywając lub tworząc dzieło sztuki, a być kim innym w życiu codziennym, zawiera w sobie niewątpliwie wiele cennej obserwacji, zwłaszcza jeśli dotyczy nas samych. Stwierdzenie takiego stanu rzeczy prowadzić powinno jednak przede wszystkim do wzmożenia pracy nad sobą. Nie stanowi bowiem tyle o różnorodności psychiki człowieka, ile o braku istotnego zespolenia wewnętrznego, umożliwiającego pogłębienie naszego przeżywania i odczuwania rzeczywistości.

Tak np: nie kształcimy się i nie rozwijamy naszego umysłu wyłącznie poprzez książki i wiedzę zdobywaną w uczelniach — podobnie jak przeżycia jakich dostarczają nam dzieła sztuki, uczucia, jakie w nas budzą nie mogą się jawić jedynie w ich obliczu i przemijać z chwilą, gdy tracimy kontakt z nimi. Istotą tych wewnętrznych procesów, które zachodzą w człowieku, zarówno podczas zdobywania wiedzy, jak podczas odbierania przeżyć artystycznych czy innych, stanowi możliwość rzutowania ich w rzeczywistość. Bierzemy po to, aby dawać. Zarówno konsumpcja intelektualna jak artystyczna staje się twórcza, o ile traktujemy ją jako przejaw naszego uspołecznionego stosunku do życia. Przy takim bowiem rozumieniu każde przeżycie, bez względu na to, czy dotyczy spraw społecznych czy prywatnych, polityki czy malarstwa, nauki czy hodowli owiec posiada swoją społeczną treść, wyraża zawsze taką a nie inną postawę człowieka, taki a nie inny jego stosunek do ludzi i życia.

PRZECIWKO POSTAWIE STATYCZNEJ

EPOKA nasza jest epoką silnych i gwałtownych przemian. Zmieniają się ustroje polityczne i społeczne, przewartościowaniu ulegają ustalone dotąd normy i zasady. W tych warunkach tym konieczniejsza jest stała i czujna korekta własnych przeżyć, własnego sposobu odczuwania i reagowania na rzeczywistość, która dzieje się nie poza nami i nie obok nas ale właśnie poprzez nas. W tych warunkach istnieje potrzeba zachowania stałej plastyczności wewnętrznej — żywotnej gotowości reagowania na zmiany, twórczego przystosowania się do zmieniających się warunków. Wobec tej rzeczywistości wszelki statyczny stosunek siłą swego bezwładu musi się załamać. Nie znajdziemy bowiem wówczas nigdy klucza do tego, co się wokół nas dokonuje, będziemy skazani na ciągłe pozostawanie przed zamkniętymi drzwiami.

Statyczna postawa nie polega bowiem na wyznawaniu tego czy innego światopoglądu, ale na braku woli realizowania go w życiu, na utraceniu kontaktu z rzeczywistością. Dzieje się to zarówno wówczas, gdy uciekamy do swoich samotnych kapliczek jak i wówczas gdy swój stosunek do bliźnich, sztuki i rozrywek układamy według zasad korzyści osobistych lub chęci użycia. W tym, co rozumiemy poprzez uspołecznienie, łączy się najbardziej osobista sprawa człowieka — rozwój jego osobowości ze sprawą najbardziej społeczną — dobrem ludzkości.

Dlatego wychowanie człowieka nie może skończyć się w jakimś określonym okresie wieku, ale trwa tak długo, jak długo chcemy się czuć społecznie przydatni i wartościowi. Nie da się bowiem życia człowieka przełamać na okres przygotowania i użytkowania. „Jesteśmy zmuszeni stale i to coraz bardziej do surowej oceny samych siebie w każdym okresie naszego życia, ponieważ żaden nie jest tylko przygotowaniem. Trzeba wykorzystując w pełni możliwości każdego czasu żyć tak, jak na tym poziomie można najpełniej i najlepiej". Cytujemy tu słowa jednego z naszych współczesnych pedagogów, które zdają się najbardziej trafnie ujmować tę wielką prawdę, że życiu swemu człowiek musi umieć nadać zawsze najwyższą cenę.

DOŚWIADCZENIE PRYWATNE I DOŚWIADCZENIE SPOŁECZNE

CZŁOWIEK poprzez sam fakt swego życia rzuca w równym stopniu na szalę dobro własne jak dobro ogólne. Życie bowiem każdego jest w równym stopniu doświadczeniem prywatnym co i doświadczeniem społecznym.

Może być tak, że to doświadczenie prywatne utraci prawo wyrażania spraw innych poza carpe diem skazanego na egoizm hedonizmu lub też reprezentowania czegokolwiek przez zamknięcie w ograniczonej przestrzeni parnasowskiej kapliczki.

Może być i tak, że rzeczywistość nie zyskała sobie jeszcze prawdziwego i głębokiego zrozumienia u jednostki, nie została istotnie przeżyta przez nią, że nie wyszła dla niej jeszcze z kręgu propagandy i agitacji. To, co zbiorowe nie zaistniało w sferze doświadczenia osobistego. Jeżeli jednak jednostka podejmuje wysiłek wyjścia naprzeciw, podejmuje trud, jaki jest konieczny i niezbędny, aby sprawę społeczną i swoją rozwiązać w kierunku twórczego zespolenia, aby doświadczeniu prywatnemu i społecznemu nadać jeden i ten sam sens — wówczas dąży do tego, co w płaszczyźnie życia doczesnego stanowi wartość największą — do dobra ludzkiego, tego, co każdy człowiek jest winien drugiemu człowiekowi i sobie samemu.

Wanda Żuromska

Józef DUŻYK

Z dziejów wawelskich wnętrz

WAWEL jako jeden z najciekawszych zabytków w Polsce pociągał i dalej pociąga badaczy historii sztuki. Zawiera bowiem tak wielki ładunek przeszłości, posiada tak bogate dzieje i różnorodne style, że trudno jest jednemu człowiekowi ogarnąć całokształt związanych z nim zagadnień, przedstawić je do tego szczegółowo, poddawszy wprzód skrupulatnemu badaniu. Dlatego wielu już uczonych biedziło się nad rozwiązaniem wawelskiego problemu. I tylko zbiorowa praca wielu ludzi może dać właściwe rozwiązanie i prawidłowe ujęcie wawelskiego zagadnienia, zagadnienia bardzo pasjonującego i porywającego swym czarem, barwami a niejednokrotnie i tajemniczością.

Tadeusz Mankowski, zasłużony historyk sztuki, autor wielu wybitnych prac z tej dziedziny, wziął ostatnio na warsztat jedno z wawelskich zagadnień i ciekawe jego



Arras „Rozmowa Noego z Bogiem“

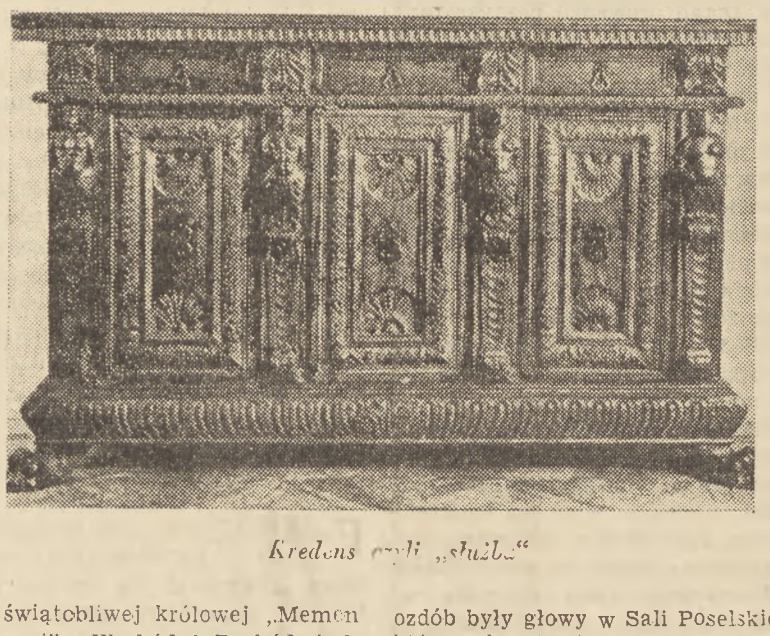
rozwiązanie dał w niewielkiej ale cennej książeczce „Dzieje wnętrz wawelskich"*). To nie takie proste sięgnąć w przeszłość i skreślić prawdziwy obraz tych wnętrz. Bo wnętrza te się zmieniały, były przerabiane, dostosowywane do potrzeb chwili i doszły do naszych czasów w innej postaci. Autor zajął się w swej pracy przedstawieniem wyglądu tych wnętrz w epoce gotyku, renesansu (za Zygmunta I i Bony oraz Zygmunta Augusta), baroku (za Wazów) oraz dał szkic o pracach nad ich odnawianiem w wieku XX. Materiały do swego studium brał wprost ze źródeł, które często szczegółowo mówią o wnętrzach wawelskich, dających żywy, jak przed wiekami, obraz.

„Dzisiejsze urządzenie wnętrz wawelskich sal nie jest tym samym, jakie w nich znajdowało się w czasach świetności zamku, w wieku XVI. Klęski dziejowe, pożary, zmiany stylu i upodobań zniszczyły i rozproszyły przedmioty dawnego urządzenia, zmienianego zresztą wielokrotnie z biegiem czasu”. Pożary w latach 1536, 1595, 1655—57, 1702 niszczyły bogactwa i przepych Wawelu. Po każdym zniszczeniu odnawiano wnętrza i przerabiano je we współczesnym już stylu.

Przed powstaniem zamku renesansowego, który przepychem swym miał przewyższyć przed nim i po nim wzniesione budowle, istniał zamek gotycki, na który składało się kilka budynków. Był tzw. wielki dom (domus magna), w którym znajdowała się wielka sala dolna (sala bassa magna), gdzie zmarł Kazimierz Wielki, stuba magna murata, izba „Laskowiec" (miejsce uczty Władysława Jagiełły w r. 1424, w której uczestniczyli Zygmunt Luksemburski i król duński Eryk). Istniał też biały pałac czy też biała sala, miejsce wyboru Władysława Warneńczyka na króla, skarbiec królewski itd. Wnętrze izb gotyckich ozdabiano malowidłami ściennymi oraz tkaninami zwanymi oponami. Kazimierz Jagiellończyk miał nadwornego hafciarza Klemensa, który wykonywał te tkaniny.

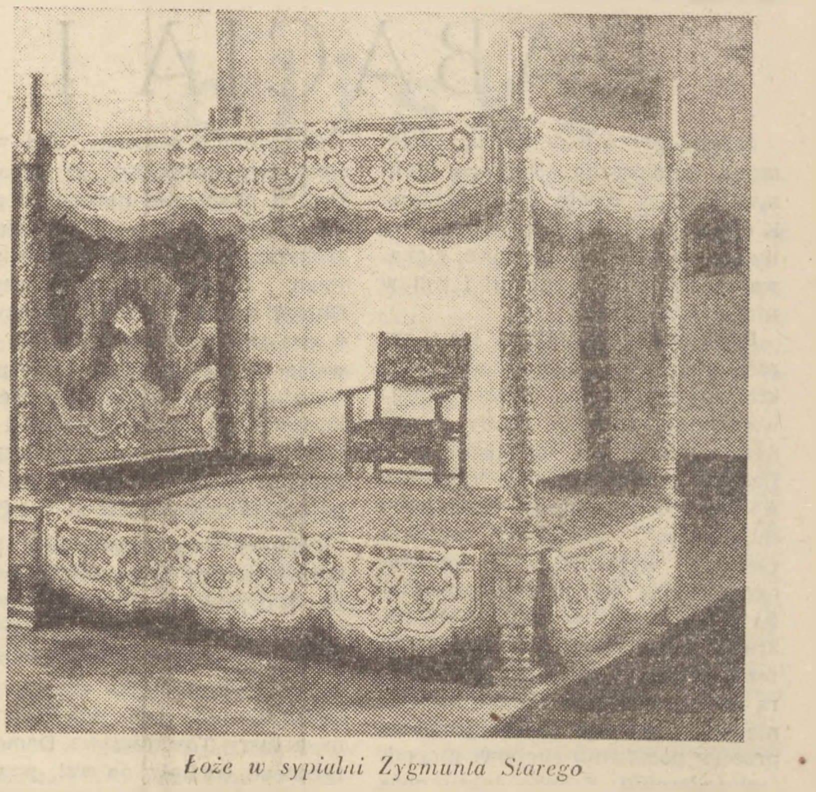
W całkiem innym duchu idzie dekoracja wawelskich wnętrz za Władysława Jagiełły. Silnie działające za jego panowania wpływy bizantyńskie, uwidaczniające się do dziś w szeregu polskich zabytków (Wiślica, Sandomierz, Lublin) przyszły i na Wawel. Ruscy malarze dekorowali ściany sypialni a robotę tę wykonali ku wielkiemu zadowoleniu monarchy.

Pod wpływem zaś Jadwigi wtargnęły na Wawel idee zachodnie. Na jednej ze ścian gotyckiego zamku widnieją dwie minuskułowe litery gotyckie, będące skrótem hasła świątobliwej królowej „Memento mori”. **„Wschód i Zachód, kultura artystyczna gotyku i kultura bizantyńska mieszały się ze sobą na dworze Jadwigi i Jagiełły i współżycie dwóch stylów zaznaczyło się także na ścianach ówczesnego zamku królewskiego”.**



Kredens czyli „służba“

I w epoce renesansu, w czasach gruntownej niemal przebudowy zamku, działały jeszcze wpływy gotyckie, wdzierając się w nowy styl i zostawiając swe ślady we wnętrzach wawelskich. Wszak pracowali jeszcze artyści i rzemieślnicy spokrewnieni blisko z gotykiem, pod jego działający wpływem i w jego duchu tworzący wawelskie dekoracje. **„Gotyk i renesans współżyły z sobą w zamku królewskim na Wawelu. O ogólnym wrażeniu decydowała renesansowa architektura, choć wysokie a cienkie, łączące kolumny krużganków drugiego piętra, miały w sobie jeszcze coś z gotyku. Renesans zakwitał na zamku wawelskim w czasie, kiedy współczesne jego powstawaniu otoczenie położonych u podnóża zamku miast Krakowa i Kazimierza, było jeszcze w całej pełni gotyckie“.**



Łoże w sypialni Zygmunta Starego

PRZYSZŁY wreszcie czasy Zygmunta I i Bony, a z nimi zabłysnął na Wawelu słoneczny i uśmiechnięty renesans, który w przeciwieństwie do surowej raczej sztuki gotyku, wnosił jakąś życiową radość i ukochanie przyrody (kaplica Zygmuntowska ozdobiona jest przecież naręczami kamiennych kwiatów).

Dzieje renesansowych wnętrz zamku zrekonstruować można na podstawie rachunków podskarbiego Andrzeja Kościeleckiego, oraz Jana i Seweryna Bonerów. **„Bonerowie byli niejako agentami króla w rzeczach sztuki, pośrednikami między nim a artystami, o których za granicą zbierali informacje i których niekiedy werbowali do służby królewskiej w Polsce”.**

Za Zygmunta I powstały wspaniałe sale (reprezentacyjna zw. aula albo atrium, atrium grande zw. później senatorską, jadalnia, sypialnia itd.), mała stubella, w której sypiał Zygmunt August, altana („płd. skrzydło zamku, składające się z samych krużganków, bez części mieszkalnej"). Powstały ozdobione barwnymi i wzorzystymi kaflami piece (kafle w pierwszej połowie XVI wieku sprowadzano z Łowicza). Znajdują się na nich herby, znaki alegoryczne, a nawet — jak przypuszczają — podobizna króla Aleksandra Jagiellończyka. Dach zamku pokryty był barwnymi dachówkami, po pożarze zaś w r. 1595 blachą miedzianą. Zwracają również uwagę piękne portale i drzwi oraz bogato zdobione stropy. Jedną z najoryginalniejszych ozdób były głowy w Sali Poselskiej, które z kasetonów patrzyły na ludzi. Niewiele pozostało ich do dziś. Ale te co jeszcze są, dobitnie świadczą o artystycznym zmyśle ich twórcy i są zarazem pierwszorzędnym materiałem do studium ówczesnych typów, zwłaszcza typów zamkowych, a więc strażników, poetów, panien z fraucymeru królowej itd. Ponadto w Sali Poselskiej powstał piękny fryz, doskonały obraz ówczesnego, renesansowego życia, kipiącego radością i weselem.

„Architektura zamku królewskiego na Wawelu ma przeważające cechy włoskie. Włoskim renesansem tchnie najbardziej charakterystyczna jego część, jaką jest dziedziniec arkadowy zamku”.

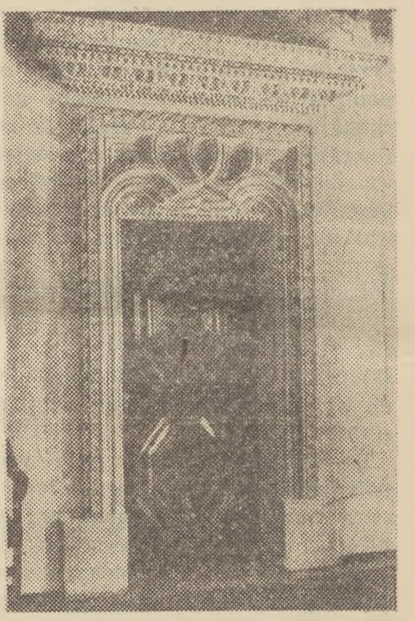
Wspaniale urządzono wnętrza, zdobiąc je w oryginalne meble, cieszące oko pięknymi ozdobami i proporcjami. To znowu osobny rozdział, któremu sporo uwagi poświęcił w swej książce Mańkowski. No, a już szczytem owego przepychu i blasku, jakim wtedy zajaśniał Wawel były te przepiękne flandryjskie opony zwane arrasami. Wykonane kunsztowną niezwykle robotą cieszyły oko zwiedzających do ostatnich chwil przed wojną, kiedy to zostały wywiezione do Kanady, skąd do dziś — mimo często ponawianych protestów Polski — nie wróciły tam, gdzie jest ich miejsce i gdzie powinny znajdować się, jako jeden z największych skarbów narodowych.

Czarujący i bajkowy musiał być wygląd sal wawelskich w latach renesansu, błyszczał niezwykłym pięknem o którym i poeci rymy łacińskie tworzyli. Ale przychodzące lata miały znów ten wygląd zmienić, dostosować do potrzeb a przede wszystkim gustów epoki. Toteż następny rozdział swej pracy poświęcił Mańkowski również ciekawemu okresowi, bo sztuce baroku za panowania Wazów.

„I znów pożar, który wybuchł w r. 1595 znaczył doniosłe zmiany w urządzeniu wnętrz królewskiego zamku. Schodzi się to z odmianą stylu i smaku w czasach Zygmunta III, która miała wycisnąć piętno na części przynajmniej wnętrz zamkowych, jakie, zniszczone przez pożar, miały otrzymać nową szatę stylową”.

Przybyły do sal zamkowych portale koloru kawowego wykonane z chęcińskiego marmuru, piękne kominki, obrazy Dolabelli, nadwornego malarza Zygmunta III. Po Zygmuncie III najwięcej do podniesienia piękna wnętrz wawelskich przyczynił się Jan III Sobieski, który specjalnie troszczył się o dobór obrazów. Zatroszczą się jeszcze o wnętrze zamku za Stanisława Augusta przygotowując pokoje na jego przybycie. **„Okres, który nastąpił po rozbiorach, można w dziejach zamku wawelskiego i jego wnętrz nazwać okresem ciemnym. Zamek zamieniono na koszary wojska austriackiego, niedostępny dla polskiego społeczeństwa, w jego oczach sprofanowany przez zaborcze rządy przeznaczeniem niegodnym jego historycznej przeszłości, sterczał na wzgórzu wawelskim jak symbol upadku politycznego dawnej Rzeczypospolitej”.**

Sprytnie wyłudzony od Austriaków w r. 1905 zamek wawelski przedstawiał „obraz nędzy i rozpaczy”. Nastąpiły długoletnie prace,



Portal gotycko-renesansowy

przy których nie szczędzono wysiłku, równocześnie odnawiając zamek nie zawsze trafnie i właściwie. **„Odnowienie — pisze Mańkowski — mało liczyło się z zabytkowym charakterem wnętrz, nie szanowało zabytku, a za wiele przykładało wagi do względów reprezentacji przyszłej rezydencji, którą zamek nie stał się nigdy na dłużej, pominąwszy smutne chwile, kiedy w nim zamieszkiwał w czasie wojny niemiecki generalny gubernator”** W r. 1945 mocą ustawy Krajowej Rady Narodowej „zamek przestał być rezydencją głowy państwa, a stał się pomnikiem przeszłości narodowej”.

Gorąco wypada polecić pracę Mańkowskiego czytelnikowi, który kocha narodowe pamiątki i który specjalną czcią i sentymentem otacza zawsze wawelski zamek. Otwarte dziś szeroko jego podwoje zapraszają tysiączne rzesze przyjezdnych, którzy chłoną piękno dawnych wieków. Mańkowski w słowach prostych, nie za uczenie przedstawił tylko jeden fragment wawelskiego problemu, wnosząc do tego zagadnienia rzeczy ciekawe i nowe, które posuwają naprzód naszą — nieraz zbyt skąpą — wiedzę o Wawelu.

Zdjęcia pracowni fotograficznej Państw. Zbiorów Sztuki na Wawelu

*) Tadeusz Mańkowski. Dzieje wnętrz wawelskich. Ministerstwo Kultury i Sztuki. Centralny Zarząd Muzeów, Warszawa, 1952, str. 76, rycin 53, cena 12 zł.

Wydawca: Stowarzyszenie PAX, redaguje zespół
Prenumerata miesięczna 1.80 zł. Kwartalnie 5.40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel 880 71, 880 26
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3. Zam. 2485. 3-B-25925.